

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 19 LISTOPADA 1927 ROKU

NR 47

TREŚĆ NUMERU: Samotrawienie się szkoły średniej prywatnej — *Dr. Marja Kuźmińska*. Odpowiedzialność społeczna — *J. Y.* Woda zapomnienia — *M. H. Szpyrkówna*. Podanie o Wandzie — *Dr. Herminja Naglerowa*. Wiersze: „Fałszywe tony”, „Nie dla siebie”, „Szafirowa chusta” — *I. K. Iłkiewiczówna*. Profesor (c. d.) — *Max Wit.* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Profesor Dr. Antoni Gluziński — *Dr. J. Świątalska*. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i R. C. H.* Odezwy i komunikaty. Z teatrów — *S. P. O.* Prawda — *N...ska*. Pielęgnacja rąk i nóg — *Dr. J. Świątalska*. O tuczeniu drobiu — *M. Trybulski*. Gęś — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Trykotowa moda — *Well*. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring* — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

SAMOTRAWIENIE SIĘ SZKOŁY ŚREDNIEJ PRYWATNEJ

Stopniowy upadek szkolnictwa średniego i kwestja dalszego rozwoju prywatnych szkół średnich, a szczególnie żeńskich, stały się problemem, który interesuje dzisiaj szeroki ogół społeczeństwa.

Liczne konferencje, zjazdy nauczycielskie, delegacje do czynników, od których szkolnictwo jest zależne, artykuły w prasie — wskazują, że zagadnienie dalszego rozwoju szkolnictwa prywatnego jest kwestją dzisiaj palącą.

Najmniej wypowiadają się dzisiaj rodzice, a przecież to zagadnienie najbardziej ich powinno obchodzić. Wybór szkoły, która przez lat ośm ma wywierać wpływ na rozwój umysłowy, na kształtowanie charakteru w okresie, gdy dziecko najbardziej ulega dodatnim, lub ujemnym wpływom środowiska, to chyba najważniejsza i najbardziej odpowiedzialna decyzja, jaką mają powziąć rodzice, która zaważy na całej przyszłości dziecka. A jednak trzeba stwierdzić, że niewszyscy rodzice posiadają zrozumienie doniosłości wyboru szkoły. Szkolnictwo prywatne, szczególnie żeńskie, jest dzisiaj w upadku, na to zgadzają się wszyscy. Stwierdzają to p.p. przełożone, gdy patrzą na opróżnione klasy, niemniej odczuwają to nauczyciele; stąd bezustanna ich troska o dzień jutrzejszy, delegacje do władz, aby ratowały szkołę prywatną, gdyż zmniejszenie się ilości dzieci w gimnazjum powoduje ze strony właścicielek szkół daleko idące oszczędności, które odbijają się fatalnie na bycie materialnym nauczycielstwa i na poziomie szkoły, przez usuwanie bardziej wykwalifikowanych sił, gdyż są zbyt drogie.

Zainteresowani szukają sposobów zaradzenia temu złu, które całym ciężarem trosk codziennych padło na jedną z najbardziej ofiarnych grup społecznych, jakim jest nauczycielstwo.

Ale żeby szukać sposobów zaradzenia złu, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę z przyczyn tego zła.

I oto przyczyn wymienia się wiele. Jedną z najsilniej podkreślanych jest rozbudowa szkolnictwa powszechnego, która, z powodu bezpłatności, wciąga już dzisiaj dzieci różnych warstw społecznych. Druga przyczyna, to obniżenie się siły płatności warstw inteligencji zawodowej; trzecia — to bezpłatność nauki w średnich szkołach państwowych. Również ważną przyczyną, która coraz więcej młodzieży będzie odciągała od szkół ogólnokształcących, jest odpływ ze szkół powszechnych do szkół zawodowych, pod wpływem hasła: w Polsce jest zbyt wiele inteligencji zawodowej.

Każdy objaw jest zdrowy, o ile nie zaczyna wpadać w przesadę. Nie będę tu poddawała analizie tego hasła: dane statystyczne wykazały, że hasło to w danej chwili nie da się utrzymać. Są to wszystko ważne przyczyny upadku średniego szkolnictwa prywatnego, ale nie jedyne: wiele jeszcze można by wymienić, ale zapomina się o jednej, może najważniejszej: o samotrawieniu się żeńskiej szkoły średniej prywatnej.

Jeśli żeńska szkoła prywatna ma istnieć, musi w niższym gimnazjum dawać coś więcej, niż szkoła powszechna, w wyższym gimnazjum nie może być

tylko złą koniecznością, którą toleruje się jedynie wtedy, gdy w gimnazjum państwowym nie było miejsca.

Czemże dzisiaj, poza nielicznymi wyjątkami, jest prywatna średnia szkoła żeńska, jakie są jej zadania, dążenia i cele?

W latach niewoli posiadała ona swoją wyraźną ideologię. Podjęło wówczas ofiarne nauczycielstwo szczytną misję walki z rosyjską wynarodawiającą szkołą rządową.

W szkole prywatnej młodzież oddychała polskością, żyła marzeniami o odbudowie państwa polskiego. Z chwilą zmartwychwstania Polski dawna ideologia straciła swoje znaczenie. Zasługami przeszłości żyć i rozwijać się nie można, trzeba wykazać się nowymi zdobyczami, do tego zmuszają odrębne warunki chwili dzisiejszej. Trzeba stwarzać nowe wartości, które staną się podstawą rozwoju na przyszłość. Zrozumienia tej prawdy niema. Prywatna szkoła średnia, zamknięta w ciasnych ramach programu, pozbawiona możności korzystania ze swej inicjatywy, stanęła dzisiaj na drodze, na której można jedynie wegetować, ale nigdy — rozwijać się.

Czem powinna być szkoła średnia, aby społeczeństwo odczuwało potrzebę jej istnienia? Tylko głęboko odczuwana potrzeba może zapewnić jej byt; jeśli w społeczeństwie zapanuje obojętność względem tak ważnej placówki, jaką jest szkoła prywatna, będziemy świadkami zjawiska, które już się rozpoczęło: stopniowego zanikania klas — co rok ubywa w szkole jedna klasa, gdyż brak uczniów w poprzedniej, powoduje zamknięcie następnej.

Co może przywrócić szkole zainteresowanie społeczeństwa?

Nad tem należy się zastanowić. Według mnie, prywatna szkoła średnia musi stworzyć nową ideologię, która byłaby podstawą jej istnienia. Co jest ce-

lem całego narodu, musi być przede wszystkim celem naszego szkolnictwa, a więc rozwój kulturalny. Nowy ustrój szkolnictwa, jak głosi projekt ustawy o szkolnictwie, ma wpływać na podniesienie „poziomu twórczości kulturalnej, przez poziom powszechności.”

Szkoła średnia powinna ująć to zagadnienie głębiej: ona musi być ośrodkiem kultury, promieniującą w głąb społeczeństwa. Mądra i szlachetna idea podnoszenia i pogłębiania kulturalnego młodzieży, oto cel szkoły średniej. Wszystko, co się w szkole czyni, czy to kształcenie intelektu, czy kształtowanie charakteru, musi mieć to na względzie. Ale nato trzeba stworzyć atmosferę kultury. Niestety, dotychczas nadaremnie poszukiwalibyśmy tej atmosfery w wielu szkołach.

Zajrzyjmy do ich wnętrza: [powiedzą nam one o zaniedbaniu kształcenia uczuć estetycznych; zapytajmy młodzieży, co wniosliśmy do skarbnicy kultury ogólnoludzkiej, w jaki sposób każdy obywatel może się przyczynić do podniesienia kultury narodowej? odpowiedzi nie otrzymamy. Młodzież nie żyje z dziełami wielkich poetów, nie czyta arcydzieł literatury poza lekcjami języka polskiego; nie odczuwa znaczenia muzyki dla rozwoju duchowego; oglądanie zabytków architektury jest przykrą koniecznością, o ile wymaga tego przedmiot, wykładany w szkole. Młodzież musi wychowywać się w atmosferze kultury, a tę przede wszystkim powinna jej stworzyć szkoła. Szkoła musi wpoić w młodzież ukochanie piękna w sztuce, zapal do pracy naukowej, potrzebę doskonalenia się, poszanowania i uwielbienia dla wysiłków twórczych.

Szkoła średnia, promieniująca wysokim poziomem kulturalnym, wejdzie na nowe drogi rozwoju, stanie się potrzebna społeczeństwu.

Dr. Marja Kuźmińska.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA

II.

Jeśli dziś, po tragicznych doświadczeniach naszego narodu, z pomocą doskonalącej się analizy historycznej i socjalnej, prawdopodobnie wzrosło w narodzie uświadomienie o konieczności odpowiedzialności społecznej, to jednak stwierdzić trzeba z żalem, że przywódcy partyjni żonglują tą odpowiedzialnością, jak piłką, starając się samym od niej uchylić, a zręcznie odbić na przeciwnika.

Uchylając się od odpowiedzialności, nie stworzymy świadomie odpowiedzialnej historii naszego odrodzenia. A za nią właśnie odpowiedzialni jesteśmy

przed sądem historii światowej, która obejmuje krytycznym spojrzeniem naszą państwowość po przywróceniu jej niezależności. Przed sobą samem społeczeństwo odpowiada za stopień i kulturę ambicji narodowej, narodowego honoru.

Stwierdźmy to: polityka stoi w odwrotnym do zasady moralnej stosunku. I powtórzmy: cel uświęca środki. Lecz w polityce wewnętrznej narodu konieczną jest podstawa moralna czystej idei dobra ogólnego, wyłączająca wszelkie osobiste korzyści, ambicje, porachunki i zemsty. Tu więc odpowiedzialność histo-

ryczna łączy się ściśle z odpowiedzialnością moralną, streszczającą się w cnocie obywatelskiej działaczy politycznych.

Ogółem biorąc, trzeba przyznać, że nad kwestją odpowiedzialności społecznej przechodzi się do porządku dziennego, a prawdziwie popularną odpowiedzialnością cieszy się jedynie rząd. Codzienna prasa przez usta publicystów, Sejm przez usta swych posłów przypomina ją ciągle i kontroluje.

Pierwszy lepszy przechodeń na ulicy, trzymając partyjną gazetkę w rękę, czuje się powołanym do balotowania odpowiedzialności rządu, premierów, ministrów. Gdyby jednak każdy z tych przechodniów sam na siebie brał odpowiedzialność moralno-społeczną, to tem samem ułatwiłby historyczno-społeczną odpowiedzialność rządu. Społeczeństwo ma taki rząd, na jaki je stać.

Nieodpowiedzialny ogół stwarza atmosferę pasywnego anarchizmu, społecznego lenistwa i inercji. Najsilniejsza inicjatywa jednostek rozbić się może o pasywny opór ogółu. W tem leży psychologiczna przyczyna koniecznych nieraz krwawych, rewolucyjnych przewrotów. Nieodpowiedzialna społecznie większość z łatwością reaguje na zew rewolucyjnych haseł. Kultura, której nie rozumie, męczy ją; czerwona płachta rozbudza łatwo jej instynkt niszczycielski, którego uczyć się nie potrzebuje. I to psychologiczne podłoże większości, jako tłumy, wyzyskują rewolucyjni ideowcy, chcący narzucić swemu społeczeństwu nową ideę, zbudowaną na gruzach starej. Zwróciliśmy już uwagę na odpowiedzialność inspiratorów rewolucyjnych, w tej chwili chodzi nam o podkreślenie historyczno-moralnej odpowiedzialności ogółu. Krwawy terror rewolucyjny nie miałby pola do rozwoju, gdyby społeczeństwo składało się z silnie zorganizowanych indywidualności, o wyrobionem poczuciu solidarnej odpowiedzialności obywatelskiej od samego dołu aż do samej góry. Społeczeństwa doskonaliłyby się, krocząc dostojnie po linii spokojnych reform, drogą harmonijnej ewolucji.

Ściśle z historją narodu związaną, a więc historycznie odpowiedzialną, jest potężna organizacja wojska. Wojsko ponosi odpowiedzialność za obronę granic i terytorjalną nienaruszalność państwa. Istotą wojska jest siła, a integralna spójność i jednolitość, wytwarzające zdolność oporu — warunkiem siły. Ku wydobyciu i utrzymaniu tej siły prowadzi karność ducha wojskowego. Kto mierzy w rozbięciu karności wojskowej, mierzy w siłę państwa i ponosi politycznie zbrodniczą odpowiedzialność. Póki państwo opiera się na militarystyce, póty wojsko zachować musi neutralną bezpartyjność polityczną, skupiając siłę i uczucie w prostolinijnym, niezawodnym patriotyzmie. Agitatorzy, rozniecający w wojsku waśń partyjną, biorą na siebie odpowiedzialność za podkopanie podstawy państwa. Za wynik bitwy historycznie odpowiedzialnym jest wódz. Lecz najgenialniejszy strategik zależy od

materiału, którym rozporządza. Współdziałając z wodzem, żołnierz jest też współodpowiedzialny. Wojsko bez wodza nie może tworzyć historii. Lecz wódz bez odpowiedzialnego wojska nie stworzy jej tembardziej.

Władze wojskowe, obarczone w czasie wojennym całym ciężarem odpowiedzialności historycznej, ponosząc w czasie pokojowym odpowiedzialność za przygotowanie sprawnej, niezawodnej organizacji i za wykształcenie militarnego materiału — nie są wolne bynajmniej od moralnej odpowiedzialności. Wychować człowieka i obywatela w żołnierzu — oto zadanie, którego należy im dokonać. Z przymusowego czasu, który młódz narodu, odslugując wojsko, wykreślić musi ze swego prywatnego życia, wynieść powinna wyższy stopień oświaty i kultury, których rozsądnikiem stać się może, powróciwszy do domów.

Schodząc z terenu ogólnej zasady, znajdziemy się na pięknym i wdzięcznym narodowym polu. Idea wojskowa — to jedyna idea, która w Polsce wskrzeszonej z miejsca nie zawiodła. Nie wiadomo jak i kiedy stanęła armja, gotowa do obrony, armja, która potrafiła momentalnie wziąć na siebie odpowiedzialność za naród. Wojsko polskie jest niezawodne, bohaterskie, żołnierz polski — pierwszorzędny. Cechują go: odwaga, brawura, wytrzymałość, ambicja i poczucie honoru. Polak, z natury niekarny, umie być karnym żołnierzem. Społeczeństwo do swej armji, względem której jest odpowiedzialne — nie dorosło. Nie darzy jej miłością, poparciem i ofiarnością, na które zasługuje. Ogląda się nań, gdy jest w trwodze, lecz gdy trwoga mija, odgradza się od niego murem obojętności i lekceważenia.

Czynniki historyczny i moralny łączą się też ściśle w odpowiedzialności ciał ustawodawczych, inicjatorów reform, kierowników instytucji ekonomicznych i naukowych. Przodowi przemysłowcy i handlowcy podpadają również podwójnej odpowiedzialności. Są oni przecież sprężyną, utrzymującą w ruchu i pchającą naprzód monstrualną maszynę przemysłu i handlu, w której szprychach zazębiają się takie problemy pierwszorzędnej wagi historycznej i moralno-społecznej, jak n. p.: konieczność torowania dróg ekspansji handlowej i zdobywanie nowych rynków zbytu dla duszącej się w ciasnych granicach wytwórczości krajowej — jak to przyczynowy problem wojny i niedostateczna produkcja kraju, powodująca zależność od zagranicznego importu i kapitału — jak to problem ekonomicznej niewoli i stosunek niezadowolonych z zarobku odbiorców pracy do niezadowolonych z pracy robotnika pracodawców — jak to problem socjalnego konfliktu, wytwarzający moralnie i ekonomicznie niebezpieczną atmosferę strajków, i t. d. i t. d.

Rozłożenie odpowiedzialności społecznej na pracodawcę i odbiorcę pracy jest skomplikowane, wziąć bowiem trzeba pod uwagę wielką względność odpowiedzialności, zależnej od wzajemności odpowiedzialnej obu stanowisk. Odpowiedzialność pracodawcy naj-

wyraźniej zaznacza się w kwestji wyzysku pracy, to jest nadużycia człowieka w stosunku do jego sił, zdrowia i wynagrodzenia. Obowiązuje go bezsprzecznie humanitarne zadanie wytworzenia możliwie najkorzystniejszych warunków bytu człowieka i podniesienia jego kultury. I nawzajem: odpowiedzialność odbiorcy pracy tkwi w tem, aby nie wyzyskiwał pracodawcy, to jest, aby pracował z jego korzyścią, sumiennie i uczciwie, normując wymagania.

W konsekwencjach niełojalnego stanowiska pracowników wszelkiego typu, wobec społecznego znaczenia pracy, zawarte są głęboko sięgające bolączki społecznych niedomagań i palących ekonomicznych i socjalnych kwestyj. To też za lenistwo pracy jest każda jednostka bezwzględnie społecznie odpowiedzialna. W dziedzinie odpowiedzialności gospodarczej równie i wzajemnie odpowiedzialna jest społeczna jednostka gospodarcza, jak i ogólna polityka ekonomiczna. Tak więc reprezentanci przemysłu i handlu,

jak i rolnictwa, zależnymi są w wysokiej mierze od przewodniej myśli ekonomicznej rządu. Ustawami, jakie wydaje, rząd sprzyja rozwojowi gospodarczej placówki, lub rozwój jej hamuje.

Rolnik, którego wynik pracy zawisł od tak nieobliczalnego czynnika, jakim jest kapryśna przyroda, nieraz i za wyteżoną swą pracę odpowiedzialnym być nie może. Jeśli co go obowiązuje do odpowiedzialności, to zawodowe wykształcenie, umożliwiające podniesienie poziomu gospodarki, sumiennosc i uczciwość pracy, niedopuszczające do wyzysku ziemi i t. zw. gospodarstwa rabunkowego. Za wyniki ogólnej rolniczej wytwórczości dość trudno robić go odpowiedzialnym. Zapewne, inicjatywa i energja indywidualna wiele może i zdziała, lecz i najwybitniej indywidualnie zdolny rolnik nie zdziała wiele, jeśli działalność jego zahamowana jest brakiem kapitału, niemożliwością uzyskania kredytu i nieprzychylnymi ustawami podatkowymi i agrarnymi.

J. Y.



M. H. SZPYRKÓWNA

WODA ZAPOMNIENIA

Pierwiastki są wieczne, ale wcielają się w formy coraz to nowe i zgodne ze współczesnością. Jakże dawną legendą jest najcudowniejszy lek obolałej ludzkości: zapomnienie! Zawsze tuła się na dnie bajki jakieś czarodziejskie źródło, do którego wyczerpana przejściami dusza ludzka się pochyła u kresu sił swoich, aby zaczerpnąć nowej mocy, a jeśli to jest niepodobieństwem — aby osiągnąć szczęście negatywne: zapomnieć. I odwieczna krynica zapomnienia bije poprzez wieki z samego dna wierzeń człowieczych, jakkolwiek różne są jej formy, zależnie od czasu, kraju, cywilizacji i rozwoju osobistego człowieka, który chciałby zapomnieć.

Dzisiejsza krynica zapomnienia u nas w Polsce bije, niestety, fontanną najczystszej, przez państwo własnoręcznie wyrabianego i zmonopolizowanego spirytusu.

Nie można powiedzieć, aby środek był wyszukany, lub poetyczny: dawne legendy znały lepsze. Niemniej, tak jest. I nie jesteśmy osamotnieni: każde państwo współczesne, albo wiele z pośród nich — musiało wynaleźć jakiś smoczek dla niegrzecznych najmłodszych dzieci swojej cywilizacji — dla ludu, ażeby już nie krzychał zabardzo i miał coś na odurmanienie. Tak baby po wsiach poją dzieci makowym odwarem:

dziecko wprawdzie durnieje, ale śpi, i jest względny spokój. Chińskie dziecko ma narkotyki raczej palone, indyjskie — żute, amerykańskie — mięśniobójcze, a bolszewickie — kompilację wszechświatowego odurzenia pod osłoną teoryj wolnościowych. Niewątpliwie najmniej (tymczasem) szkodliwą rozrywką bawi swoje klasy niższe Ameryka: przeszła już na narkotyk niejako porządku moralnego. Alkohol jest tam na indeksie, a narkotyki pilnie tępione. Dlaczego w epoce, kiedy walki byków są uważane za krwawy przeżytek okrucieństwa, Ameryka się bawi za drogie miliony dolarów rozkrwawianiem twarzy swoich Dempsey'ów, uprawianem metodycznie za zgodą władz i przy asyście wielotysięcznej publiczności? jest to jedna z zagadek współczesności, która, w myśl przysłowia, jedną ręką pali świeczkę Bogu cywilizacji, a drugą — diabłu okrucieństwa; jeden z krwawych paradoksów życia, gdzie naród może być mordowany w obliczu Ligi Narodów, z jej całkowitem desinterementem.

Dość, że tak jest, i słaby głos protestu rozmaitych utopijnych stowarzyszeń o zakroju ewangelicznym nadaremno — a może i nie nadaremno, tylko — mało efektywnie? — nawołuje do poprawy życia społecznego i uzgodnienia zasad katechizmowych z zasadami faktycznymi.

Mają tysiące imion, ale zasadniczo są jednością: protestem przeciwko zmechanizowaniu ducha, które milowymi krokami postępuje naprzód w naszym wieku człowiekowzorej maszyny. Wspaniały, jakkolwiek bardzo krytykowany, z częściową racją, film „Metropolis” był, między innymi, takim głosem protestu. A czy ktoś z czytelników zwrócił uwagę na dziwne zjawisko w Warszawie? Od czasu do czasu na świetlnych taśmach reklamy, pomiędzy anonsami o gumowych obcasach i likierach Mikolascha, przewija się nagle nad huczącym czerwonymi ogniami miastem milczący napis, tak dziwny, że osobiście mimowoli staje i patrzy za nim w górę długo potem, gdy już zginie w mroku:

— Błogosławieni miłośni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Albo:

— Jam jest głos wołającego na puszczy: „Prostudcie drogi Pańskie, czynicie prostemi ścieżki Jego...”

Kto umieszcza i opłaca te milczące przypomnienia, wpadające w huk miasta, jak Mane — Tekel — Fares w ucztę bałwochwalców? Nie wiem! Myślę, że jedno z owych niewidocznych stowarzyszeń, które umieją zbratać ludzi niezyciowych, jak się o nich zwykło mawiać — a którzy, rzecz dziwna! kładą swe siły i istnienie na stworzenie... życia. Tego lepszego życia, gdzieby katechizm i codzienność nie były rozdzielone jeszcze przez zawiłości kodeksu prawnego.

Obecnie odbywa się w Warszawie zjazd jednego z towarzystw, które jest dużo bardziej życiowe, niż ewangeliczne, i walczy ze złem środkami współczesnymi, nie polegając na upomnieniach moralnych.

Jest to zjazd antialkoholiczny.

I nie od rzeczy będzie poświęcić chwileczkę rozmyślania nad tą plagą naszego polskiego durmanu. Bo narkotyki są u nas raczej wybrykiem poszczególnych chorobliwych jednostek, nie żujemy nic zatrutego, oprócz... goryczy na porządek społeczny, mięśnie jeszcze nie przeszły u nas w amerykańską hipertrofię, ale zato alkohol — jest złem nagminnym i pożerającym, jak Chronos w mitologii, własne dzieci.

Poezja ma tę wyższość nad prozą, że jednym lotnem zdaniem wyjaśnia to, co by proza musiała długo i nudnie udowadniać. Nie mam pojęcia, jakie środki Zjazd podejmie dla zwalczania złego. Czytałam zresztą program, bardzo naukowy i życiowy, o tem, jakby wykazać najdowodniej alkoholikowi, że szkodzi sobie niepoprawnie.

Na zeszłorocznej wystawie higienicznej były świetne tablice plastyczne, a zwłaszcza rysunki, potraktowane z zacięciem humorystycznym, a unaoczniające rozmaite wypadki, spotykające pijaka. Odrzuć można było znaleźć i statystykę, i literaturę, i wszystko, co związane jest z butelką wódki... oprócz niej samej, oczywiście.

I to jest słuszne, dobre i konieczne.

Ale...

Ponadto wszystko i stale dźwięczy mi zawsze wspaniały wiersz Konopnickiej, który się kończy historycznymi słowami:

„Postał, podumał — i poszedł do szynku!”

I oto jest sedno zagadnienia.

Bo wszystko tamto — wykazy, cytaty, grafika: wszystko to są środki wtórne. A właściwie zagadnienie trzeba by ująć dużo prościej i... boleśniej:

Ciężkie życie współczesne wymaga odciążenia. Sfery inteligentkie mają to odciążenie w nauce, sztuce, sporcie, podróżach, teatrze, zebraniach towarzyskich i we własnym rozwoju duchowym.

Sfery niższe tych dystrykcji w $\frac{9}{10}$ nie mają. Że zaś potrzebują po ciężkiej pracy i nieludzkich nieraz warunkach mieszkaniowych jakiegoś oderwania się, celem poprostu instynktu samozachowawczego, rzucają się na to, co najtańszym i najłatwiejszym sposobem daje najszybsze i najkompletniejsze zapomnienie: na alkohol.

I pijaństwo u nas jest w olbrzymiej mierze tylko wynikiem niezmiernie niskiego poziomu kultury sfer pracujących i zupełnego ich upośledzenia, w sensie odrywających od codzienności zainteresowań, zarówno towarzyskich, jak moralnych.

I to stawiałoby antialkoholizm na nowych podstawach, które zupełnie gdzieindziej umieściłyby jego punkt ciężkości. Zadaniem pierwszym byłoby nie zwalczanie złego, a przeciwstawianie mu dobra. Zwalczaniem alkoholizmu byłoby budowanie domów ludowych, teatrów popularnych i dobrze postawionych, karuzeli, sportów, wycieczek, czytelni i kursów doszkalaćcych. Byłoby odciążenie alkoholika, nie jego przymusowe moralizowanie, bez żadnej namiastki. Jeżeli odejmujemy mu wódkę, powinniśmy wzamian dać coś innego — bo sam morał nie wskóra nic na dłuższą metę. Jeżeli proletariąt miejski będzie nareszcie mieszkał po ludzku, nie w barłogu, jeżeli będzie dostatecznie odżywiony i w miarę zaopatrzony w rozrywki, dające mu godzinę szczerzej zabawy i oderwania od kłopotów codzienności: alkoholizm spadnie do minimum sam przez się, bez zwalczania, upomnień i sztucznej propagandy, jak np. nie odżywia się normalnie czekoladą żołnierz, który nie jest w okopach i ma swój kawał mięsa i chleba, do którego się organizm przyzwyczaił.

Cały więc ruch antialkoholowy powinienby się skupić dokoła Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, lub Oświaty i dopiero stamtąd wejść na prawdziwie realne tory: tworzenia namiastki przed usunięciem trucizny, do której organizm ludu się wdrożył. Co ma Wielka Warszawa dla olbrzymich tysięcy z Powiśla i Woli, z za Powązek i z Solca? Czem interesuje tych ludzi? Jak im daje możliwości dorobku? Gdzie są te parcele, które, jak w Ameryce, można sobie wypra-

cować, domy własne, które można spłacać ratami z pensji robotniczej, kursa techniczne bezpłatne, gdzie się można nauczyć fachu, kluby, czytelnie i związki, gdzie się można rozerwać? Powstało boisko młodzieży robotniczej „Skra“, (czegoś gorzej wymawialnego trudno odszukać: czemu już nie „Iskra“?)—dzięki Bogu. Dla dziewcząt Y. W. C. A. i Koło Polek założyły jakieś ogniska towarzyskie: dobrze. Ale to — kropla w morzu! To mały ułamek ogromnej, nieruszonej bryły ukulturalnienia narodu, z którego pracowite dłonie tu i tam, ciężkim trudem, wielką ofiarnością, odłupują po kawałeczku na użytek ciemnych mas: ale

sama bryła jest do podźwignięcia tylko skupionym wysiłkiem władz oświatowych, ekonomji społecznej, dobrobytu powszechnego: stanu, kiedy tragiczna woda zapomnienia nie będzie już tak konieczna, bo samo życie nie będzie już tak nieznosne, ponad siły ciężkie. I obyż robotnik Nowej Polski, postawszy i podumawszy, mógł wybrać, powiedzmy, między klubem zawodowym, teatrem ludowym i kursami wieczornymi! A wówczas, jestem głęboko przekonana, że jeśli i pójdzie do szynku—to tylko ten konieczny procent nałogowców, który w każdym narodzie jest: ale będzie to już tylko — wyjątek.



DR. HERMINJA NAGLEROWA

PODANIE O WANDZIE



Wanda

Rysunek Cyprjana Norwida. Oryginał znajduje się w zbiorach Wł. Mickiewicza w Paryżu

Wędrowka legendy w czasie jest niejako wielokrotnem wcielaniem się jej w coraz to inną formę. Zależnie od zmian wyrazu formy, przeinacza się poniekąd wewnętrzny charakter baśni. Stąd też metempsychoza (jeżeli tak wolno powiedzieć), legendy jest niemal zawsze literacka. Historia bowiem, wyczerpawszy wszystkie swoje sposoby i metody, umywa wreszcie ręce i stwierdza, że nic tu już nie ma do powiedzenia, gdyż bawienie się w hipotezy, bez nadziei, aby kiedyś mogły się przemienić w pewnik, prawie że ubliża powadze nauki, sprowadzając ją na manowce mglistych rozważań. Legenda tedy, zostawiona

prawdziwej poezji. Wiemy przecież, co z pieśni i podań ludowych zrobił Ossjan, co z mitów Eddy uczynił Wagner. Legenda karmi więc fantazję artysty, lecz jednocześnie ożywa sama pod tchnieniem ducha poety. Jest to wzajemne oddziaływanie na siebie twórcy i materiału twórczego. Niczem mistyczny krąg, na którego obwodzie w niewiadomym punkcie zahaczyły się elementy tworzenia.

Z naszych legend, największą siłą suggestywną posiada bezsprzecznie podanie o Wandzie. Dobrze się więc stało, że Hanna Mortkowiczówna w sumiennej pracy p. t. „Podanie o Wandzie“ *) omówiła dzieje wątku literackiego, wysnuwającego się z baśni o Wandzie, „która nie chciała Niemca“ i poszła na dno srebrnej wody wiślanej.

Podanie o Wandzie mogło w istocie stać się motywem literackim, nie tylko ze względu na swoją bohatersko-romantyczną treść, ale i dla zgoła nieprymitywnego podłoża psychologicznego. Niewytłumaczona dostatecznie przyczyna śmierci Wandy jest odstępstwem od zwykłej logiki legend i stwarza temsamem wielorakie możliwości komentowania. Takie nie-domówienia i niejasności w gadatliwej zazwyczaj legendzie stają się właśnie kopalnią dla artystów. Mnożą się na ten temat różnolite wersje — od kronikar-

poza kręgiem ścisłych badań, buja samopas, rozrasta się, albo kurczy, zależnie od poetyckich możliwości danej epoki. Czasem skrzywi legendę tendencja polityczna, naginając motyw podania do biegu swoich spraw. Czasem zabarwi się baśń błękitnym blaskiem

*) Studja z zakresu historii literatury polskiej, Nr. 7: Hanna Mortkowiczówna: „Podanie o Wandzie.“ Dzieje wątku literackiego. Z 10 ilustracjami. Warszawa, 1927. Skład główny w księgarni Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie.

skich fantazji Kadłubka, aż po fatalistyczne przeobrażenie w „Legendach” Wyspiańskiego, i wizja Wandy-samobójczyni zjawia się coraz to inna.

Podanie o Wandzie będzie więc spełniać rolę dydaktyczną w kronikach, które pisze się przecież pod hasłem: „historia est magistra vitae.” W wiekach 16, 17 i jeszcze w 18, będzie legenda o Wandzie urastać do ogromu, albo może tylko szablonu klasycznych bohaterów. Pod koniec 18 wieku przejdzie Wanda przez pryzmat wolterjańskiej satyry, będzie także usiłował zniweczyć ją sceptycyzm naukowy Naruszwicza.

Ale mimo, że podania o Wandzie dotknął się chłodny skalpel racjonalizmu, pseudoklasycyzm otacza ten temat czułościową opieką i rozpali się zimnym ogniem wyniosłych słów nad losem nieszczęsnej królewny, albo wpląće się w ujęte naiwnie konflikty psychiczne bardowa nuta konwencjonalnego romantyzmu ossjanicznego. Wtedy też, — a będzie to już z początkiem 19 wieku — wysunie się motyw patryjotyczny, czyniąc zadość wymogom chwili. Wizja Wandy podejdzie pod pióro Krasińskiego i Słowackiego, aż zamieszka w państwie „Króla Ducha,” kraju mistycznych zbratań z legendą. I wówczas stanie się Wanda dopiero nie tylko tematem i wizją, „ale głęboką artystyczną wiarą Norwida. W pół wieku później w „Legendach” Wyspiańskiego Wanda wpadnie w moc fatum klątwy, spokrewniwszy się z heraklesowymi bohaterami.

Widzimy więc, jakim przemianom ulega ludowo-kronikarski motyw podania. Mortkowiczówna umiejętnie prowadzi czytelnika wędrownym szlakiem legendy, przyczem wielką zaletą tej poważnej pracy jest znakomite opracowanie faktycznego materiału i to zarówno literackiego, jak i historycznego. Autorka, wyszedłszy z założenia, że... „historja jakiegokolwiek tematu literackiego, ewolucja jego w czasie ma charakter historyczny, obyczajowy, ściśle związany z tłem politycznym i kulturalnym epoki” — wykazuje przyczynowe związki owych przemian. Głębokie ujęcie przez autorkę problemu podania, jako wątku literackiego, nasunąć musi wnioski, daleko sięgające w psychologję twórczości literackiej.

Przedewszystkiem bowiem metamorfozy legendy ujawniają, jak dalece uzależnia się twórca od chwili bieżącej.

Okazuje się przecież, że właśnie ta chwila bieżąca, obejmując stu ramionami poetę, trzyma go niejako w uwięzi, nakazując mu taki, a nie inny punkt widzenia.

Zarówno więc silnie narzuca się przystosowalność interpretacji treści, jak i forma, względnie obowiązująca w danej epoce „moda” pisarska.

Autorka pracy o Wandzie przeprowadziła swoją tezę logicznie i przekonująco. W istocie historia legendy ulega fluktuacjom, wywołanym przez wpływy epok, lecz w rezultacie dojść musimy do tej wiecznej prawdy, że talent pisarski, a zwłaszcza zdolność konstruowania daje dziełu artystyczną wartość. I dlatego właśnie ze wszystkich literackich wersji o Wandzie jedynie „Wanda” Norwida, osiągnęła doskonałość artystycznego wyrazu. W tragedji Norwida sprzęgły się bowiem: umiar i głębia. Architektonika zewnętrzna objęła lotność idei, stała się niejako kontyną dla bóstwa. Na arcydziele Norwida wykazać można dowodnie, że konstrukcja jest istotnem dążeniem twórcy, gdyż ona jedynie potrafi z pierwiastków, narzuconych despotycznie przez epokę, stworzyć dzieło na dziś i jutro.

I tak wszystkie wcielenia legendy o Wandzie będą przemijające, albo, jak u Słowackiego, fragmentaryczne. Dopiero w wizji Norwida objawi się pełny kształt legendarnej bohaterki. Wyjdzie z nieomówień pełnia osobistych przeżyć Wandy i wartość jej ofiary dla kraju.

Nie bez powodu też przybrała „Wanda” Norwida formę misterjum, skoro z misterjalnych głębi wywieść się ma znaczenie legendy, jako etycznej podstawy dla Polski chrześcijańskiej.

Z powyższych uwag na temat pracy Mortkowiczówny wynika, że mamy tu do czynienia z sumiennym i dojrzałym czynnikiem z zakresu historii literatury polskiej. Dodać należy, że praca napisana jest przejrzystie, pięknym językiem, i może wobec tego zainteresować nawet nienaukowców. Ozdobą książki są dobrze wybrane ilustracje.



Z CYKLU: „ZWIERCIADŁO DUSZY“

I. K. IŁŁAKOWICZÓWNA

FAŁSZYWE TONY

O, te upadki, klęski ducha ustawiczne,
drażniące i nierytmiczne,
codziennie nieudane gamy,
w tych samych miejscach błędy te same;
zbyt długo naciskany pedał,
poniżająca ciągła bieda;
malutkie zgrzyty i obmowy,
temat bez wdzięku i jałowy...
Pokusy bez wielkości—grzechu powszednie i cudze
fałszywe, fałszywe akordy, nad którymi bez pożytku się trudzę.

NIE DLA SIEBIE

I można wygrać wszystko, ale nie dla siebie,
wymodlić każdą łaskę, każdy sprawić cud,
wyczytać ciemne jutro, jak piosenkę z nut,
wstrzymać klęskę, jak wilka u owczarni wrót,
wszystko to można, wszystko, ale nie dla siebie.

Kończy się cudotwórstwo, gdy chodzi o własne
klęski, u granic własnych staje włość
i składa oręż. Tam, gdzieby najprościej
było uczynić wszystko dla własnej miłości
— jest się bezsilnym wobec nędzy własnej.

Po tylu próbach, dziś jest wszystko jasne:
z ran, odniesionych w niejednej potrzebie,
człowiek się leczy, rzeczy martwe grzebie,
zrzuca postacie, co dlań już zbyt ciasne,
do nowych cudów sił szuka po niebie...
Ale nic sprawić nie może dla siebie.

SZAFIROWA CHUSTA

Z męką wraz spływa ku mnie chusta szafirowa,
znaczona w hieroglify czarne;
jeśli zrozumieć tajemnicze słowa,
jak Bóg, całą wieczność ogarnę.
Centaury, co serce na kopytach rozniosły,
jednoróg, co mię stratował,
to tylko heroldy, to tylko są posły
tej chorągwi szafirowej.



PROFESOR

Miód! — powtarzał staruszek; — niby — Jeżowicz też nie od tego, aleć zawsze raptus! śpieszył człowieka, ducha wyganiał: — Tu postaw! a tu przystaw! — zawsze miał jakieś polecenia, przykazy i zawracanie głowy. Papierosów zupełnie nie palił, a w sprawie złotych, to lepiej nie mówić! Był goły; dwa razy nawet pożyczył na tramwaj i nie oddał. Widać, zapomniał; bo też nie tęga asystencka zapłata, wietrzała piorunem, a młody, jak młody: bez pieniędzy, ani rusz! — Z takich rzeczowych rozważań kształtował swój sąd o dziewczynie i nawet sam w tej sprawie zagadnął profesora.

— Nasza panienka ogromnie, musić, jest staranna i pracowita. Wczoraj, jak pan poszedł wieczorem, jeszcze ze dwie godziny się porała, ażem się zdrzemał, czekający. Czasami to i na obiad nie wychodzi, tylko herbatę każe podać, przeciotko wypije i znowu gnie się nad mikroskopem, cudnie wszystko robi, nawet ku... — nie dokończył tej tyrady: o kurzach, właściwie, nie należało mówić. Zamilkł na chwilę, zmieszany, patrząc zukosa, czy „Stary“ słucha.

Pisał coś zawzięcie i nie odpowiadał, ale nie przerywał; niby się zgadzał, potakiwał, machając piórem po papierze, gęsto, gęsto zapisanym. O la Boga! nawet się uśmiechnął i odłożył papieryska na bok.

— No! no! Mikołaju, tylko aby się nie zakochajcie w panience, żebym wam dzieci do chrztu nie potrzebował trzymać..

— Co też pan psor mówi! dziewczyna — krew z mlekiem! a ja — rupieć, dwiema nieboszczki żony pochował, świeć Panie nad ich duszami! już sześćdziesiąt minęło, wnuki są. Śmieszki se pan psor robi! — Był doprawdy zgorszony żartem profesora.

— A dyć zupełnie na Jeżowicza wygląda, takie koncepty prawić — zrzędził w duchu, przekonany jednak, że „Stary“ podziela przychylną o dziewczynie opinię. A przecież nie kazał kobiet wpuszczać, a tę przyjął. Kiwał głową, zadowolony z odmiany, bo też grzech stworzenie Boże obrażać, a dziewczyna, toć przecież człowiek!

Rzeczywiście, była pracowita, staranna, sumienna; rozumiała i lubiła swą pracę; niewątpliwie, jeśli teorie profesorskie były prawdziwe, zasługiwała na miano wyjątku, przynoszącego zaszczyt swemu rodzajowi. Powoli góra argumentów, skierowanych przeciw kobiecie, wietrzeć poczyniała. Zarysowały jej zbocza głębokie szczeliny, coraz nowe motywy upadały wobec konkretnych faktów: — wyników pracy. Rysunki były nie tylko ozdobą rozprawy o „Glistnicy“, ale dopełniały ją znakomicie, dzięki rozumnej schematyzacji, ujmującej treść dowodów uczonego, pogłębiały

niejako i dopełniały wartość teoretycznych wniosków i rozważań.

Opracował właśnie wstęp do rozprawy. Wymieniał Jeżowicza, jako współpracownika w części badawczej i myślał właśnie o tem, czy wymienić swą współpracowniczkę. Postrzegał ironiczne uśmiechy kolegi anatoma i botanika, któremu nie mógł w swoim czasie przebaczyć, że wybrał sobie asystenta-kobietę. Przekonywał go wtedy, żeby pamiętał, że popełnia infamję, że niszczy pracownię, obniża poziom ćwiczeń i wiele innych smutnych następstw przepowiadał upartemu botanikowi, który nie tylko ośmielił się mieć asystentkę, ale publicznie twierdził, że jest z niej najzupełniej zadowolony. Tak, zjadliwych uwag nie umknie, a smarkacz Jeżowicz gotów to potraktować, jako swój triumf osobisty. A jednak nie podda się, musi być sprawiedliwy i ścisły. Praca jej przedstawiała określoną sumę wartości, nie mógł więc przemilczeć: byłoby to fałszowaniem faktów. Przyrodnik — i fałszowanie faktów! — nie, to nie do pomyslenia! Botanik może się uśmiechać. Nic.

IV

Tymczasem wiosna stawiała się coraz pełniejsza. Świeże szmaragdy drzew, przetykane kiściami kwitnących na dziedzińcu uniwersyteckim bżów, zlewały aromat przenikliwy, sączący się przez otwarte okna pracowni, tułający się po kątach, zwalczający słodką woń, rozpyloną przez liczne konserwowane w spirytusie preparaty. Ostrość słonecznych promieni skakała po błyszczącym metalu przyrządów, rozpryskiwała się ognistymi strzałami na szkle kryształowych flaszek i słoików. Połyskiwały błyszczące pancerze skarabeuszy afrykańskiej kolekcji Jeżowicza; śpiewały tysiącem barw subtelnych płowiejące w formalinie pierścienice morskie, wypełniające niezliczone ruchome gabloty pracowni. Natura żywa, triumfująca, usymbolizowana w słońcu, ożywiała te zakrzepła, zmartwiałe szczątki, oderwane od bytu, zapalając słumione przez śmierć barwy, niecąc w ogniu promienne iskry zamarłego życia.

Cały zaczarowany świat pracowni nabrał nowego wyrazu, przeświecił się radośnie, zadrgał wstydliwie święteczną jasnością, wyrwany z odwiecznej zadumy przez wciąż odnawiające się światło słoneczne.

Przeglądała się temu z zachwytem estetycznym kobiety i zainteresowaniem naturalisty, lubującym się w różnaitości odwiecień bytu.

— Ile piękna rozrzutnie roztacza natura w swej nieprzebranej hojności! — mówiła pewnego ranka do

profesora, bawiać się tysiącnym blaskiem lśniących pokryw skarabeusza.

— Rzeczywiście — odrzekł, wpatrzony w gorące, promienne złoto jej włosów, prześwietlonych aureolą blasków.

Tego dnia przyniosła kwiaty. Ustawiła je w wazoniku na biurku, między papierami. Kwiaty... cóż go mogły interesować poza systematyczną przynależnością? Zresztą systematyki roślinnej nie znał dobrze, a ogrodniczej — zupełnie; jednak podziękował uśmiechem.

— Lubię kwiaty! — powiedziała.

Wtedy uśmiechnął się właśnie i przysunął do siebie wazonik. Zwykle wczesne, polne kwiatuszki, nawet nie pachną. — Lubię kwiaty! — i jasność miała w twarzy.

Gdy wychodził, podała mu kapelusz. Zdjęła zeń małym paluszkim delikatny pyłek i śmiesznym ruchem strzepnęła go w powietrze.

— Dlaczego nie mam córki? — pomyślał boleśnie — dlaczego nie miałem żony, kobiety? Dziękuję pani — chciał właściwie pocałować ją w czoło, jak małą, małą dziewczynkę; nie zrobił tego: nie umiał. Mruknął niewyraźnie i szybko zamknął drzwi za sobą.

Otworzyła szeroko okno i patrzała, jak szedł przez dziedziniec w obwisłej marynarce, z nierówno postrzyżonymi na karku włosami, wystającymi z pod szerokich kres spłowiełego kapelusza. Profesor. Starec.

Dobry, litościwy uśmiech wykwitł na czerwonych, młodzieńczych, jędrnych ustach.

— Kochany staruszek, miły dziwak... jak mało go znała! Ile przesądnych wersji krąży o tym samotniku, którego świat zamknięty jest w kręgu niższych robaków!

Polubiła jego niezdarną małomówność, młodzieńczą żądzę wiedzy, zamkniętą w ciasnym kolisku zainteresowań specjalisty, i niezmordowaną twórczą pracę, którą podziwiała, pełna entuzjastycznego szacunku dla jego sławy. Z radością przerzucała pisma i biuletyny krajowe i obce, gdzie omawiano jego spostrzeżenia, teorie i obserwacje. Z uniesieniem odczytywała polemiczne, zwięzłe i treściwe artykuły dyskusyjne jego pióra. Ten małomówny po spartańsku człowiek umiał opisać w sposób kunsztowny najtrudniejszy proces zoopsychiczny, czy strukturę morfologiczną, z malarską wyrazistością i mocą. Sprawiała jej ogromną radość świadomość, że ona właśnie

jego myśli i obserwacje interpretuje rysunkowo, że jej często dyktuje odpowiedzi, notatki, które w swoim czasie będą czytali uczeni całego świata, będą roztrząsać i polemizować; że te króciutkie często obserwacje będą zaplenieniem wielu młodych mózgów, stojących na gościńcu pracy naukowej. Że właśnie przez nią, przez jej ręce owe drogocenne myśli przepływają, że ona jest pierwszą, żywą istotą, której zostają, prawie w chwili narodzin, powierzone. Była niby chrestną matką tej wiedzy, u której warsztatu stała, jak cicha, mrówcza pracownica. Starła się być godna zaszczytu; sama nie wiedziała, skąd w niej tyle zapału, pilności i uwagi niegasnącej dla zmuśnionej pracy się rodzi. Nie była to sama żądza wiedzy, ciekawość młodej uczzonej, ale pragnienie, pierwotnie tylko ambitną myślą kierowane, przekonania profesora o wartości kobiety, teraz stało się nieodpartą potrzebą, niemal koniecznością.

V

Wreszcie przyjechał Jeżowicz. Mikołaj był dziwnie podniecony, gdy rano, jak zwykle, z wiązanką kwiatów stanęła przed nim, aby go przywitać.

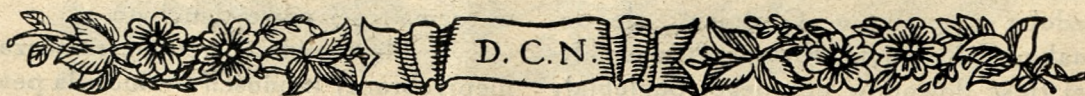
— O la Boga, panienko! Dr. Jeżowicz z Algieru przyjechał, czy z innego Egiptu. Nazwoził paków co niemiara! Czarny, niczem kominarz! Gadają z panem Psorem od godziny, oglądają robactwo, którego przywiózł całe pudy. Te skrzynie, to także doktora. Teraz będzie skaranie boskie z ustawianiem, pakowaniem i tłuczeniem, bo pan dr. raptus, jak miły Bóg! Już mi na przywitanie tak gnaty powykręcał, że choć trumnę szykuj!

Stała stropiona. Więc już będzie zbyteczna? Nie myślała o nim. Pamiętała go, właściwie, doskonale, ale mało na niego zwracała uwagi, właśnie, bo inne studentki zbyt mu się narzucały i niedwuznacznie wzdychały do jego bujnej, twardej, lwiej czupryny i do tryskającej życiem i werwą postaci. Powtarzały z czcią jego powiedzenia, zapisywały rozmowy z nim do indeksu osobistych triumfów i t. d. i t. d.

Dla tych wszystkich powodów unikała go; była dumna, że prócz włosów i sylwetki w najogólniejszych zarysach nie przypominała sobie jego twarzy. Teraz spotyka go znowu poto, by się dowiedzieć, że już jest niepotrzebna, że ją doskonale zastąpi.

— Poco wrócił z Afryki? — myślała z przekąsem — doskonale było bez niego!

Za drzwiami przystanęła, nie mogąc ze wzruszenia nacisnąć klamki.



W. MIŁASZEWSKA

20

KACZĘTA

(powieść)

— Ciocia — powiada — ma głowę pełną przesądów, to się cioci wydaje, że aktorka musi być zaraz *kokota*. Ale nic dziwnego! Ciocia w innych czasach wyrosła, to ciocia dzisiejszego pokolenia nie rozumie. Od cioci czasu dużo się zmieniło! Teraz młode panny trzeźwo na świat patrzą i wiedzą, czego chcą. A ciocia, chociaż kawał życia przeżyła, wie o niektórych sprawach tyle, co dziecko dziesięcioletnie. Może nawet mniej...

Może i prawda. Może mniej wiem o życiu, niż Adelka, bo ona czasem o takich rzeczach z całą pewnością rozprawia, których ja nawet nie rozumiem...

Ale mi się wydaje, że to niebardzo dobrze, gdy dziewczyna młodziutka, dzieciak prawie, nie ma nic z tej świeżości polnego kwiatka, z tej naiwności, co to nią moja Adelcia pomiata... Życie i tak przejdzie, wiatrem ostrym w oczy podmucha, zetrze niejedno z duszy ufnej... Ale co się zaczerpnęło w piersi świeżego tchu, co zakwitło w sercu młodem i pełnem wiary, to już tam doostatka pozostanie jasne i czyste, chociażby na tem sercu twarda porosła skorupa, choćby wszystko pył szary przykrył i zatracił...

Choćby ja sama. Ciężko czasem, szaro w duszy od smutków, od trosk — młode lata ze łzami wspominam, a przecież nie oddałabym ich za żadne królestwa na ziemi! Nawet tej mojej miłości nieszczęśliwej, co to zakwitła w sercu i w niem, jak więzień na resztę życia pozostała zamknięta. Świeci mi ona i teraz, jak promyczek maleńki, co tylko moje własne serce rozgrzewa... A nieraz sobie powtarzam: Kto wie, jakby się życie potoczyło? Możeby z panem Kazimierzem nietylko szczęścia nie zaznała, ale i jemu zaciężyła kamieniem? Możeby różne kłopoty przyszły, o których teraz nie wiem? Możeby i ta miłość moja z czasem w sercu wygasła; a wtedy toby mi nawet nie zostało takie słodkie wspomnienie minionych lat...

A zresztą — czy mi źle na świecie? Mam dzieciśka moje drogie przy sobie, — własnychbym więcej kochać nie potrafiła napewno. Żeby mi tylko Bóg pozwolił patrzeć z radością, jak rosną, jak idą w świat, każde swoją własną drogą, każde szczęśliwe i warte szczęścia!..

O jednym tylko Marku nic wymarzyć nie mogę. Czy dlatego, że go kocham — nie to najbardziej — bo wszystkich kocham jednakowo — ale jakoś najtkliwiej, najczulej. Jemu, zresztą, najwięcej tkliwych uczuć było potrzeba. Czy i on kiedyś, wyrósłszy, odejdzie bardzo daleko od starej ciotki i nawet głowy nie obróci, aby się do niej uśmiechnąć?

Te moje słabe dziś ramiona niańczyły go, gdy był maleńki, te ręce głaskały go po włoskach i po buzi okrągłej... Szylałam dla niego pierwsze w życiu spodeńki... Tak, tak! Pamiętam, jakby to było wczoraj: zwróciła mi uwagę pani Klimaszewska, że Marek wyrósł, że czteroletniemu kawalerowi nie wypada w sukienkach chodzić...

Poszłam więc i nabrałam dla Mareczka korciku granatowego na spodeńki.

Dałaby mi Adelcia za to „nabrałam”! Ona nie cierpi, gdy tak mówię, uważa, że to wyrażenie prostackie — ale już ja w tych latach swego języka nie przerobię. Jakem się nauczyła mówić, tak mówię. Pięćdziesiątki dożyłam, a nikt mi nie zarzuci, żeby z moich ust kiedy słowo nieprzyzwoite wyszło. A że się nie tak poprawnie, jakby Adelcia chciała, wyrażam, — to już trudno. Mnie nikt nietylko „*parle franse*,” ale nawet gramatyki polskiej nie uczył. Tyle, co w kilku klasach nauki łyknełam i potem douczałam się, gdy chłopcy do szkół chodzić zaczęli.

Ale o czym to ja zaczęłam? Oj, źle, panno Justyno, źle! Pamięć zawodzi, a myśli po głowie kołują... Uszylałam więc Markowi pierwsze spodeńki. Trzeba go było widzieć, jaki był dumny! Paradował z miną poważną i co chwila kurteczkę zadzierał, wszystkim pokazywał, że ma przy nowych spodeńkach guziki prawdziwe rogowe, takie same, jak Staś...

Potem, to już Markowi, jak innym dzieciom, szwaczka szyla. Ale te pierwsze mam do dzisiaj w kufrie schowane i — wstyd się przyznać — ale gdy mię czasem smutek ogarnie, albo wspomnienia opadną, jak baki — sięgam do tego kufra, Markowe spodeńki wyjmę, popatrzę... Nieraz łzy mi się w oczach zakręca. Zaraz mi w pamięci staje, jak żywy, jaki był wtedy: z jasnymi włoskami, co dokoła twarzyczki zwijały się w loki, z temi swojemi oczami, które mi zawsze Antolkę na pamięć przywodzą, z tym dołeczkiem na bródce i buzią okrągłą, jak jabłuszko rumianą.

Teraz już Marek inny, ale do Antosi jeszcze podobniejszy, niż dawniej. Czasem, jak głowę nagle z nad książki, czy jakiego rysunku podniesie, a na mnie spojrzy — myślę sobie: W Imię Ojca i Syna! Czyżby Antosia z grobu powstała?

Otóż, co do Mareczka, ani rusz wyobrazić sobie nie mogę, czem będzie kiedyś w przyszłości, gdy już dorosnie. I Tomka widzę dobrze, i Adelcię i Stasia, a Marka — nie.

W żaden sposób wystawić sobie nie mogę, jaki będzie Mareczek, kiedy mu wasy wyrosną, lub kiedy

się ożeni... I gdy tak próżno w myślach układałam sobie jego postać wysoką (on powinien przerosnąć nawet Stasia) — to mi się często przypomina ów dzień, gdy Marek wołał, zanosząc się od płaczu:

— Będę wielkim malarzem, albo umrę! Zobaczycie, że umrę...

I już mi się ten przyszył Marek w oczach rozwiewa, jak mgła, jak jaki cień, jak mara...

A niech Bóg broni, co ja dziś wypisuję! Że się też starej głowy podobne myśli czepiają! Starzeję się, widocznie starzeję się z dniem każdym, z godziny na godzinę! Tfu! nafty pół litra wypaliłam, żeby takie głupstwa po głowie chodzić zaczęły! Dość tego! Jutro Walerka zaczyna wielkie pranie; Stasiową bieliznę mam jeszcze przerachować i osobno odłożyć, bo—kto wie? a nuż mi powie zrana, że z Warszawy wyjeżdża za parę dni... Z tym chłopakiem trzeba być zawsze w pogotowiu. Ciekawam tylko, czy Teofil będzie do końca cicho i czy słowa na te Stasiowe projekty nie piśnie?

Masz więc, Antolko, twoje pisklęta: wychuchałam je, wykarmiłam; dreptałam koło nich szesnaście blisko lat... Teraz Tomasz już pełnoletni, osobno mieszka, po kawalersku. To pierwszy. Staś, tylko patrzeć, jak z domu wyfrunie. To drugi już. Adelfia także nie od tego, żeby na własną rękę życie jak najprędzej rozpocząć.

Zostaje Marek. Ale czy długo jeszcze? Bóg jeden wie...

25 marca 1919 r.

Spoglądałam na ten zeszyt jakby obcemi oczami, jakbym go pierwszy raz dopiero dzisiaj ujrzała. I ręką odrętwiałą kartkę po kartce przekładałam, też jakby cudzą ręką, nie własną.

Żeby chociaż umiała myśli wszystkie połączyć i mocno związać, by się znów nie rozbiegły, żeby zwykłymi słowami dały się ogarnąć, objąć, w porządku pójść szeregiem, dzień po dniu, godzina po godzinie — wszystkie, co do jednej, jak następowały po sobie...

Antolko moja, siostruniu kochana! ty jedna, z nieba patrząc, lepiej widziałas, lepiej wiesz wszystko, niż ja... To może mi wybacysz, że nie mogłam niczemu zaradzić, nic więcej zrobić, nic...

Rok temu, równo rok, w same imieniny Antolki, zaczęłam pisać ten dzienniczek. Tak, tak... pamiętam! Było to po powrocie z cmentarza. Tak mię opadły wspomnienia, że do dawnego wróciłam zwyczajowi: spisowania wszystkiego, co na myśl przyjdzie. Bo jakoś wtedy lżej: myśli uspokajają się, serce przycicha... Tylko mi wtedy — rok temu — do głowy nawet nie

przyszło, co się stać może... co się już stało... i nigdy, nigdy nie odmieni...

O mój Mareczku, moje ty kochanie najmilsze! moje ty dzieciątko złote, jedyne, najlepsze! Gdybym ja wówczas przewidzieć mogła, przeczuć nie puściłabym cię na krok od siebie, siłą uczepiłabym się twoich ramionek, wczytywałabym się w każdą myśl twoją... Prosta jestem kobieta, mówić pięknie nie umiem, ale już z pewnością znalazłabym jakieś słowa, któreby cię wzruszyły i powstrzymały... I nie odszedłbyś odemnie w daleki świat i byłbyś dotąd przy mnie...

Tyle miesięcy minęło, a ja żyję, jak w odrętwieniu i nawet uwierzyć nie mogę, że to już prawda nieodwołalna, że tak się stało, że go nazawsze utraciłam...

Jezu miłosierny! Gdybym przeczuła wtedy!.. Siedział przy stole, na zwykłym miejscu i jadł bułeczkę z masłem... Czy ja mogłam nawet przypuścić, że go widzę ostatni raz? Taki był sobie zwyczajny, taką miał minę, jak codziennie... I może tylko bułeczkę jadł trochę wolniej... Na drobne kawałki ją kruszył i patrzył w talerz, albo przed siebie...

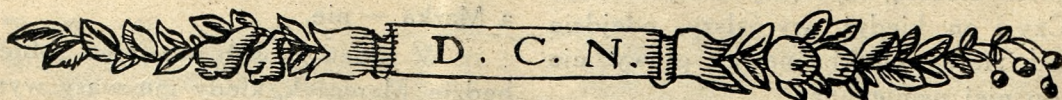
Ale on często tak siedział zamyślony, i wszyscyśmy do tego przywykli.

A potem wstał i poszedł prosto do swego pokoju. Teraz, gdy tyle czasu minęło, gdy już *wiem wszystko*, — gdy sobie każdą chwilę przypominam, — widzę każdy jego ruch i każde spojrzenie... Po podwieczorku pocałował mię w rękę, jak zawsze. Nawet nie uściskał go serdeczniej, byłam na niego trochę zła, troszeczkę... I chciałam, żeby wiedział, że się na niego gniewam.

A on siedział w swoim pokoju i pisał list do mnie. Właśnie ten list. A ja nic nie wiedziałam, nic nie przeczułam. A gdy wróciłam z miasta o siódmej — już go nie było...

Z początku nie wiedzieliśmy nic, nie domyśleliśmy się nawet. Teofil pobiegł na policję, że może się Markowi co stało, A on był wtedy daleko... Jechał pociągiem, jechał skulony pod ławką, bo przecież nawet pieniędzy nie miał tyle, żeby za bilet zapłacić.

Przez cztery dni tośmy chodzili wszyscy, jak nieprzytomni... I Teofil i Tomek (Staś wtedy był już na froncie) biegali po wszystkich urzędach, dowiadywali się. Agentów rozesłali... Nic, nic. Jak kamień w wodę! A potem przyszedł z poczty ten list. Że ja wtedy od razu trupem nie padłam... Ale mię radość ogarnęła, głupia radość, że jednakże nie przepadł, że jest, że żyje, choć w takim strasznym niebezpieczeństwie! Właśnie Teofil wrócił do domu, a w chwilę później Tomek z Adelfką. A ja siedziałam, jak nieprzytomna, śmiałam się i płakałam.



PROFESOR DR. ANTONI GLUZIŃSKI

Pisma codzienne umieszcili fotografie i wzmianki o 45-letniej pracy lekarskiej prof. dr. Gluzińskiego. Fakt ten mógłby ująć uwagę szerokiego ogółu świata kobiecego. Tymczasem osoba Szanownego Jubilata i cała jego działalność powinna być znana wszystkim kobietom, gdyż jest to jeden z niewielu profesorów, którzy ułatwiali pierwszym studentkom medycyny ich twardy trud przemysłowania niechęci społeczeństwa. Działalność prof. dr. Gluzińskiego jest zapisana złotymi zgłoskami w pamięci uczennic, które się z nim stykały przed laty we Lwowie.

Prof. dr. Gluziński urodził się we Włocławku. Po ukończeniu szkoły średniej w r. 1874 wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. W r. 1880 otrzymał stopień doktora nauk lekarskich. Po otrzymaniu stypendjum wyjechał na dalsze studia do Wiednia, Berlina i Paryża.

W r. 1885 otrzymał prawo wykładania patologii i terapii szczegółowej chorób wewnętrznych, w r. 1890 mianowany został profesorem nadzwyczajnym tego przedmiotu, niedługo potem — profesorem zwyczajnym patologii ogólnej i doświadczalnej U. J., a w r. 1897 widzimy go już na stanowisku zwyczajnego profesora i Dyrektora Kliniki chorób wewnętrznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po skończeniu wielkiej wojny w r. 1918, zostaje powołany w tym samym charakterze do Uniwersytetu Warszawskiego.

W r. 1891 wybrany był na prezesa Tow. Lekarskiego Krakowskiego, w r. 1898 Tow. Lekarskiego Lwowskiego, w r. 1921 i 1922 Warsz. Tow. Lekarskiego, a w r. 1923 na sekretarza stałego tegoż Towarzystwa. Zawsze śledzący pilnie postępy wiedzy lekarskiej, baczna uwagę poświęca pismom fachowym. Pracował w redakcji „Przeglądu Lekarskiego” w Krakowie, należał do założycieli „Tygodnika Lekarskiego” we Lwowie, w Warszawie zaś założył i redagował „Polskie Archiwum Medycyny Wewnętrznej”, jako organ Tow. Internistów Polskich, które założył w czasie swej działalności we Lwowie.

Jego imię i prace znane były zaszczytnie zagranicą, toteż przed wojną został zaproszony do współpracy w wydawnictwie „Kongressblatt für innere Medizin” i przy pomocy asystentów umieszczał prace polskie z tej dziedziny. Brał czynny udział przez urządzanie i wygłaszanie odpowiednich wykładów i referatów w zjazdach lekarzy i przyrodników polskich, a również w zjazdach naukowych zagranicą i w kongresach międzynarodowych lekarskich w Rzymie, Peszcie i Paryżu.

Jego wybitną pracę dla dobra nauki polskiej uczciło państwo przez nadanie mu Orderu Polonia Restituta.

Prof. Gluziński piastuje godność członka honorowego wielu Towarzystw Lekarskich.

Z prac naukowych prof. dr. Gluzińskiego przeszło 75 zostało ogłoszonych drukiem. Lecz praca naukowa, to tylko jedna strona działalności tego wybitnego człowieka.

Jeżeli ogół studentów medycyny ukochał swój zawód, jeżeli z poświęceniem na tem polu pracował, jeżeli Uniwersytet Lwowski wydał szereg wybitnych lekarzy, to należy to w największej mierze zawdzięczać prof. dr. Gluzińskiemu, który był człowiekiem nie tylko olbrzymiej wiedzy i autorem wielkiej ilości dzieł naukowych, nie tylko był najlepszym pedagogiem, lecz jednocześnie i wychowawcą młodych pokoleń. On uczył młode pokolenie myśleć po lekarsku, on uczył kochać swój zawód. Z żywiołowym entuzjazmem przelewał swą wiedzę w serca słuchaczy i słuchaczek i krzesał w nich iskry świętego ognia poświęcenia. W tym okresie, gdy kobiety dopiero zaczynały zdobywać sobie prawo obywatelstwa na wyższych uczelniach, z wielu stron mając przeciw sobie nie tylko profesorów, lecz i kolegów swoich, jeden z niewielu naszych prawdziwych opiekunów i przewodników prof. dr. Glu-

ziński bez żadnych przesądów ułatwiał nam studia, pomagał zwalczać przeciwności i uczył wytrwałości i wiary we własne siły.

Prof. dr. Gluziński, człowiek wielkiej nauki i wielkiego doświadczenia, rozumiał, że kobiety, studujące na uniwersytetach, to nie ofiary chwilowego kaprysu mody. Jako człowiek o szerokim światopoglądzie, pojął, że jest to tylko awangarda wielkiej armii kobiecej, która, dotychczas pozbawiona wolności i swobody, poczyną zdobywać sobie prawo do życia i pożytecznej pracy. Prof. dr. Gluziński potępiał zawsze wszelkie ciasne i demagogiczne hasła, które przeciwnicy emancypacji wygłaszali w celu utrudniania pracy owym niewielu pionierkom ruchu kobiecego. Zawsze pomagał młodym swym uczniom na ciężkiej drodze zdobywania wzbudzonej dotąd wiedzy. Nie kierując się nigdy przesadami i zawsze zgodnie z duchem czasu, prof. dr. Gluziński przyczynił się w wielkiej mierze do stworzenia ogniska pracy nowoczesnej kobiecie - lekarce.

Aczkolwiek długie lata dzielą nas już od opuszczenia Almae Mater, jednak niezapomniana jest dla nas jasna postać prof. Gluzińskiego i pozostanie zawsze dla nowego pokolenia lekarzy ideałem nie tylko lekarza i nauczyciela, lecz, przede wszystkim, — człowieka.

Dr. J. Świątalska.

Kobieta w świecie i w domu

PRZYJĘCIE RUTH ELDER W PARYŻU

Lotniczka amerykańska miss Ruth Elder, która przebyła połowę drogi nad oceanem i zmuszona do opuszczenia się na fale wskutek zepsucia się aparatu, została uratowana przez parowiec holenderski, przybyła do Paryża samolotem z Madrytu. Na lotnisku w Le Bourget tłumy zgotowały jej entuzjastyczne przyjęcie. Zasypano ją kwiatami i wyniesiono w triumfie z aeroplanu, wraz z jej towarzyszem, kap. Haldemanem. Wieczorem w klubie Aljantów odbył się bankiet, zorganizowany staraniem francuskiego towarzystwa awiacji i Unji międzynarodowej. Na bankiecie tym obecny był minister handlu Bokanowski, oraz liczni politycy, dyplomaci, przedstawiciele wojskowości i lotnictwa.

N. J.

DOBRA NAUCZKA!

„Miss Dorota Logan, dwudziestoparoletnia Angielka, zdobyła ostatnio niezwykle rekord, przepływając English-Chanel (La Manche) w przeciągu 13 godzin zaledwie!!!

Pobiła ona o jedną godzinę i 27 minut rekord, ustalony swego czasu przez amerykańkę miss Gertrudę Ederle” i t. d. i t. d. — donosiły w pierwszej połowie października wszystkie gazety, wynosząc pod niebiosa nową rekordzistkę i sławiąc jej czyn i odwagę.

Okazuje się obecnie... że przepłynięcie kanału La Manche w nocy z dnia 10 na 11 października było jedynie premedytowaną symulacją.

W kołach sportsmenek-feministek wybuchła konsternacja. Miss Logan nie przyjęła nagrody w sumie 1000 funtów szterlińskich, oświadczając z uśmiechem, ku ogólnemu zdumieniu sędziów, że podróż przez kanał, wyżej wspomnianej nocy, odbyła najzwyczajniej w świecie na pokładzie jachtu ze swymi przyjaciółkami. Doktorka Dorota Logan chciała w ten sposób zwrócić uwagę miarodajnych czynników na łatwość wprowadzenia w błąd sędziów konkursowych.

Dopuszcza się tej symulacji z rozmysłem, aby unaocznić konieczność bardziej ścisłej kontroli nad wszystkimi osobami, dokonywującymi próby przepłynięcia kanału.

H. S.



W dniu 6 b. m. odbyło się otwarcie świetlicy Koła Polek. Aktu poświęcenia dokonał ks. prałat Niemira.
O pracy w świetlicach pomówimy niebawem na innym miejscu.

NADMIAR KOBIET W BERLINIE

Berlin jest miastem kobiet, liczy bowiem w swych murach o 300.000 więcej kobiet, niż mężczyzn. Jak widzimy, okazała ilość mieszkanek tego grodu skazana jest na staropanieństwo.

Na 2 miliony i 200 tysięcy berlinek 800 tysięcy, czyli prawie trzecia część własną pracą zdobywa sobie utrzymanie.

Jak widzimy, Niemki potrafiły przystosować się do warunków życia współczesnego. Zdają sobie one sprawę, że nie każda z nich może liczyć na zdobycie męża. Zamiast więc kwaśnieć w oczekiwaniu, — a nuż się uda? — same zabrały się dzielnie do roboty, starając się własną pracą zapewnić sobie byt, a później — spokojną starość.

R. C. H.

KSIĘŻNICZKA JULJANA

Następczyni tronu holenderskiego, 18-letnia księżniczka Juliana jest osobką zupełnie nowożytną. W roku bieżącym zapisała się na uniwersytet w Leyden, gdzie studjuje prawo. Rozumie ona, że aby w przyszłości móc kierować państwem, musi posiadać gruntowne wykształcenie. Przytem, kto wie: w obecnych czasach demokratycznych los panujących jest tak niepewny! W razie zmiany losu, nie chce być ona zmuszoną oglądać się na apanaże królewskie i potrafi własną pracą zapewnić sobie utrzymanie.

Księżniczka pilnie uczęszcza na wykłady i regularnie zdaje egzaminy, aby uzyskać dyplom adwokacki. W wolnych chwilach również nie próżnuje i z zamiłowaniem poświęca się studjom literackim. Niedawno nawet napisała sztukę p. t. „Sinobrody” i sama grała w niej jedną z ról.

Księżniczka cieszy się w całym kraju wielką sympatią i popularnością, na co zasługuje w zupełności, dzięki łagodnemu usposobieniu, dobroci serca i bystrości umysłu.

R. C. H.

KRÓLOWA POMIDORÓW

Zdaje się, że orgia konkursów w Ameryce ma się już ku końcowi. Amerykanie mają dużo zdrowego rozsądku i zrozumieli, że aczkolwiek posiadanie greckiego nosa, gwiazdzistych oczu, kształtnych nóg i tym podobnych czarów jest wielką zaletą, nie stanowi jednak osobistej zasługi szczęśliwej wybranki losu.

Natomiast w kraju tym, gdzie zamiłowanie do „competition” weszło już niejako w krew mieszkańców, zainaugurowano cały szereg nowych konkursów kobiecych, odbywających się pod hasłem: pokaż, co umiesz i czego dokonałaś.

Na jednym z takich konkursów, o charakterze gospodarczym, zwyciężyła młodziutka miss Margit Swan, prezentując wspaniałą krzew pomidorów, liczący blisko sto owoców.

Laureatka otrzymała tytuł królowej pomidorów. R. C. H.

DZIKI KRAIK RZĄDZĄCYCH I STROJNYCH KOBIET

W górzystym kraju Assam w Indjach, zamieszkanym przez szczep Rhazi, panuje do dziś dnia system matriarchatu. Kobiety rządzą tam w życiu społecznym i rodzinnym. Mężczyzna nieżonaty oddaje swój zarobek matce, lub siostrze, po ślubie zaś — żonie.

Pomimo tej przewagi obyczajowej, kobiety assamskie są dobre, miłe i kochające — odznaczają się nadzwyczajną starannością w domu, troskliwością o rodzinę i... wyjątkową kokieterią w ubraniu. Noszą one malownicze stroje, a każda zamożniejsza niewiasta ma ich niezliczoną ilość — pewno dlatego — jak twierdzą żartobliwie Europejki, że nie potrzebuje prosić o nie męża — gdyż sama rządzi budżetem rodziny.

Rhazi są jednak zupełnie zadowoleni z tego systemu; gdy wielu z nich, w czasie wojny światowej, przybyło z wojskami z Indji do Europy — nie mogli początkowo zrozumieć jej obyczajów, a potem, gdy je już pojęli, wyrażali się z pewną pogardą o tych dziwnych krajach, „gdzie mężczyźni sami wszystko robią — nie słuchając kobiet”!

N. J.

PRACA KOBIET W NAUCE W ANGLJI

Angielskie towarzystwo naukowe „British Association for the Advancement of Science” odbywa corocznie tygodniowe konferencje popularyzacyjne. Celem ich jest zaznajomienie w szeregu popularnych wykładów szerszej publiczności z ostatnimi zdobyczami naukowymi, uprzystępnienie ich tym wszystkim, którzy nie mogą kupować kosztownych dzieł naukowych, lub nie mają czasu i dostatecznego fachowego przygotowania do ich zrozumienia.

W tym roku konferencja ta odbyła się w Leeds i cała prasa angielska, która temu popularnemu kongresowi naukowemu poświęca baczną uwagę i wiele miejsca na szpaltach czasopism, podniosła niezmiernie liczny i wybitny udział kobiet w konferencji i w pracach towarzystwa.

Kobiety czynne są we wszystkich sekcjach, we wszystkich gałęziach wiedzy. Większość z nich jednak poświęca się naukom społecznym, pedagogice, psychologii i filozofji. Kilkanaście kobiet należy do zarządu towarzystwa, a także do sekcji antropologicznej, psychologicznej, wychowawczej i przyrodniczej.

Księżna Katarzyna Atholl, podsekretarka stanu w ministerjum oświaty, jest przewodniczącą sekcji wychowawczej, a wykład jej „Rozszerzenie poglądów wychowawczych” wywarł głębokie wrażenie na słuchaczach.

Omawiano również nader pochlebnie odczyt miss Burstall, byłej kierowniczki wyższej szkoły żeńskiej w Manchester, która mówiła o działalności kobiet afrykańskich, stwierdzając, że pracują one intensywnie nad rozwojem higieny, udoskonaleniem gospodarstwa domowego, przemysłu, ogrodnictwa i uprawy roli.

Udział kobiet w pracach „British Association for the Advancement of Science” jest ich wielkim triumfem, tem większym, że towarzystwo to specjalnie broniło się zaciekle przeciw wejściu doń kobiet. W r. 1832 ówczesny prezes stowarzyszenia oświadczył w patetycznej mowie, że obecność słuchaczek podczas wykładów ubliżałaby powadze nauki! Niedługo jednak ostała się staroświecka twierdza: już w 1843 r. otrzymały kobiety prawo wstępu na wykłady, w r. 1869 uzyskały zupełne równouprawnienie ze słuchaczami, a wkrótce potem zaczęły brać udział w pracach naukowych! W r. 1913 pierwsza kobieta została przewodniczącą sekcji i zaczęła wykłady. Dziś kobiety stanowią połowę członków stowarzyszenia, są w zarządzie, w komitecie zjazdu, a w r. b. było na zjeździe dwadzieścia wykładowniczy.

N. J.

CHARAKTER KOBIETY A MUZYKA

Niezwykłą próbę charakteru zapomocą muzyki poleca jeden z artystów amerykańskich, kapelmistrz Kirkwood z Chicago.

Chcąc poznać usposobienie znajomych dam, zapraszał je, aby wybrały jakąś melodię z pomiędzy wielu przedłożonych płyt gramofonowych. „Możecie mi wierzyć, gdyż zdanie swe opieram na doświadczeniu paru lat i niezliczonej przez ten czas ilości prób”, mówi Kirkwood, „że kobieta, która pragnęła usłyszeć w gramofonie jazzband, charlestona, lub jakąś tego rodzaju kabaretową piosenkę, była zwykle istotą kapryśną, płytką, nieznosną w pożyciu domowym, zamęczającą męża strojami i wymaganiami — natomiast kobiety, które lubią poważne melodie, pieśni religijne, patriotyczne, lub proste piosenki ludowe — mają charakter głębszy, poważną inteligencję, są dobre, skromne i uczuciowe”.

Pogląd ten ma z pewnością wiele słuszności — tylko można by go z tym samym skutkiem zastosować i do mężczyzn — doświadczenia te jednakże należałoby — w myśl naszych europejskich gustów — przeprowadzać zapomocą jakiegoś szlachetniejszego instrumentu — niekoniecznie gramofonu.

N. J.

KOBIETY W SŁUŻBIE MORSKIEJ

Do portu archangielskiego zawinął niedawno parowiec handlowy, na którym cała załoga, prócz kapitana, jest żeńska. Starszy i młodszy porucznik, majtkowie, chłopcy okrętowi w malowniczych kostiumach marynarskich — wszystko to są kobiety. Silne, rosłe, doskonale wygimnastykowane, spełniają swoje obowiązki jaknajlepiej: statek łśni czystością, służba idzie, jak w zegarku, wszędzie panuje porządek i spokój. „Marynarki” te, bowiem, aczkolwiek palą tytuń, ale nie używają wódki, ani żadnych napojów wysokowych, i kapitan twierdzi, że nigdy nie miał takiego spokoju i pewności bezpieczeństwa swego statku, jak z tą kobiecą załogą. Nowe zaś „wilki morskie” są również zadowolone, mają bowiem zapewniony byt, ludzkie traktowanie, a wiele z nich znalazło w tej służbie zapomnienie strasznych chwil, spędzonych wśród okrucieństw rządów bolszewickich. Każda z tych kobiet jest silna, zręczna i doskonale umie sobie radzić na swym stanowisku. Opisuja ten oryginalny statek podróży, anglik, opowiada, że doznał formalnego zażenowania, iż musiał, schodząc z chwiejnej drabinki sznurowej do szalupy, przyjąć pomoc dłoni kobiecej, która go podtrzymała.

N. J.

LADY ASQUITH NIE CHCE ZREZYGNOWAĆ...

Najpoczytniejszą i najlepiej płatną powieściopisarką angielską, — acz już w wieku podeszłym, — jest hrabina Margot Asquith, żona wielkiego przywódcy liberałów angielskich.

Za największą swą powieść p. t. „Oktawja”, autorka otrzymała ni mniej, ni więcej, jak 400,000 złotych zaliczki (10.000 funtów szterlingów), jakkolwiek powieść ta napisana jest dotychczas tylko do połowy.

Nowozałożony dziennik londyński, przyjmując tę powieść do druku, osiągnął od razu nakład 200.000 egzemplarzy.

To się nazywa mieć szczęście!

PRACA KOBIET W ŚWIELE STATYSTYKI.

„Głos Narodu” w jednym z październikowych numerów podaje ciekawą statystykę, z której wynika, do jakiego stopnia kobiety w Polsce, dzięki pracowitości swej i wykształceniu, zdołały zawładnąć placówkami pracy, szczególnie w dziedzinie szkolnictwa. Na ogólną liczbę nauczycielstwa, wynoszącą w ubiegłym roku szkolnym 63 i pół tysiąca osób, nauczycielek było 35,304, a więc przeszło o 7 tysięcy więcej, niż sił męskich. Gdy kwalifikowanych nauczycieli było nieco ponad 24,000, to nauczycielek z pełnymi kwalifikacjami — 30,570.

Statystyczne dane wyższych uczelni notują wzrastający odsetek studujących dziewcząt.

W roku akademickim 1924/25 w wyższych uczelniach polskich studjowało 28,000 mężczyzn i 8,600 kobiet. W ciągu dwu następnych lat stosunek liczebności zmienił się na korzyść kobiet, przyczem stwierdzono, że procent dziewcząt, otrzymujących dyplomy, zwiększa się stale.

R. C. H.

WALKA O RÓWNOUPRAWNIENIE SZKOLNE W AUSTRII

Podczas gdy w Polsce liczne głosy odzywają się za otwarciem jaknajwiększej ilości szkół zawodowych dla kobiet, a istnieją nawet do dziś dnia — choć niezbyt liczne, zdania, że szkoły żeńskie winny mieć oddzielny program, — w Austrii zebrania rodzicielskie wypowiedziały się z całą energią przeciwko obniżaniu poziomu szkół żeńskich. W jednej ze szkół państwowych w Wiedniu miano po wakacjach przystosować program tak, aby szkoła dawała prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych. Ponieważ zaś dotychczas tego nie uskutecznilo, rodzice wystąpili do ministerjum z podaniem, w którym w sposób bardzo energiczny protestują przeciw wychowywaniu swych córek na „trochę wykształtsze kucharki.”

ODEZWY I KOMUNIKATY

Od Związku Obrony Kresów Zachodnich Otrzymujemy odezwę następującą:

Dziewiąty raz obchodzić będziemy Święto Bożego Narodzenia w Niepodległej Ojczyźnie. Przedziwne, niezapomniane Święto dzieci, młodych i starych! Święto zestrzelenia myśli i serc. Święto zjednoczenia rodziny z Bogiem oraz z Ojczyzną. Święto zespolenia bliskiego z dalekim.

Dziewiąty raz obchodzić będziemy to Święto w odrodzonej Polsce. alści... nie wszyscy. Nie wolno zapominać nam o tem. Nie wolno nam zapominać, że zgórą 200.000 dzieci polskich spędza ów najdroższy, niezapomniany nigdy wieczór Wigilijny daleko, het, zakordonem — na ziemiach niewyzwolonych. 200.000 om dzieci polskich zbraknie w tym dniu najdroższej, najistotniejszej jego treści — Ojczyzny. Nie dopuścimy do tego! Opromieńmy im Święty Wieczór najskromniejszym choćby wyrazem pamięci. Świadcstwem, że choć dalecy — jesteśmy sobie bliscy. Niech każde dziecko polskie ze Śląska, Gdańska, Niemiec — znajdzie pod choinką najskromniejszy choćby upominek — z tamtej strony. Niech obok podarku od Matki, z radością w oczach ujmie w ręce — drgający jeszcze ciepłem, nieostygły wzruszeniem — podarek od Ojczyzny. Niech poczuje, że ta Ojczyzna przy nim jest — żywa, wielka, bliska, że przesyła mu pozdrowienie!

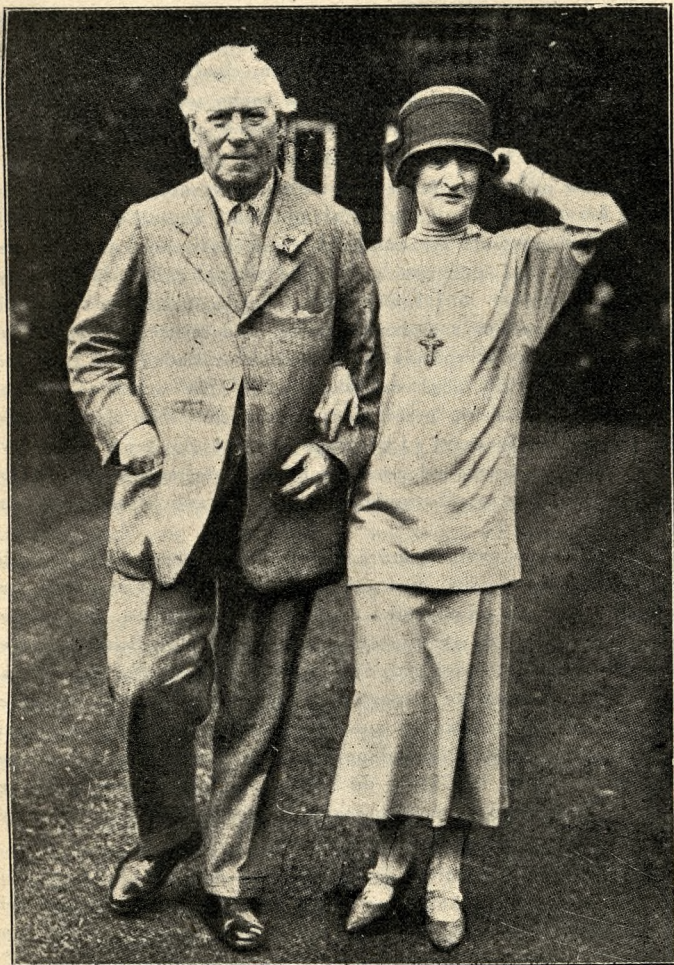
Niechaj w odwecie zabije mu silniej miłością ogromną i wdzięcznością serce, a pierś spręży się hardo i z dumą w uświadomieniu: „jestem Polakiem, jestem Polką! tak chcę i tak pozostać, dowiodę tego! Oto Ojczyzna Polska śle mi pozdrowienie”.

Obywatele! W Waszej mocy jest skromnym darem dać osieroconym dzieciom polskim — uśmiech Ojczyzny, w Waszej mocy jest rozbudzić w nich miłość do Niej.

Niechaj niemieckie naokół „Christbaum” przeobrazi się za Waszą sprawą w swojską, prawdziwą, pachnącą, polską choinkę! Niechaj wschodząca Gwiazdka za Waszą sprawą stanie się za prawdę tą pierwszą symboliczną wschodzącą gwiazdą Polski na zasepionem niebie Śląska, Gdańska, Niemiec!

Wyłoniony ad hoc przez Komisję Kulturalno - Oświatową przy Związku Obrony Kresów Zachodnich „Komitet Zbiórki” wzywa niniejszym wszystkich ludzi dobrej woli do składania jaknajliczniejszych darów w naturze, bądź gotowiznie pod niżej podanym adresem.

Wszelkich informacji udziela Komisja Kulturalno - Oświatowa przy Z. O. K. Z. — Nowy Świat 21, tel. 518-75. P. K. O. 84-14.



Z TEATRÓW

TEATR MAŁY:

„Koń Trojański” komedia Cipriano Giachetti’ego w przekładzie p. Franciszki Szyfmanówny.

Dziwnem i przykrem nad [wyraz jest zadanie krytyka, który po premierze musi pochwalić wszystkich: tłumaczkę, reżysera, aktorów, krawcowe (o, krawcowe przedewszystkiem! bo suknie były prześliczne), a autora przygwoździć do muru straszem słowem: po co? i dla kogo? Po co i dla kogo napisał to sztuczdyło bez sensu, bez żywych ludzi, zszyte sobotnim sztychem na niedzielnym targu, rozkładające się na szwach w napięciu nienaturalnych sytuacji, z akcją, włóczęgą za włosy po scenie przez trzy akty, akcją tak bezkrwistą, że reżyserja ratowała jej życie zastrzykami lokalnej sensacji, każąc aktorowi, grającemu rolę Vitaliana, nieubłaganego Jowisza teatralnego, przywdziać maskę znanego w Warszawie krytyka. Takie pomysły, godne szopki „Cyrulika”, są właściwe tylko wtedy, gdy i pozostałe postacie są karykaturą znanych osobistości: słaba z natury sztuka nabiera wówczas mocy w ostrym sosie satyry. W przeciwnym razie jest to pospolity „trik” teatralny, rozpaczliwy wysiłek pogotowia ratunkowego, chwytającego się konskich lekarstw, aby ocalić sztukę, która sama się dobija własną, bezdenną głupotą.

Koniem Trojańskim ma tu być list miłosny, który wyleciał przez okno z rąk pięknej Ginetty, żony nieubłaganego krytyka teatralnego Vitaliana. W poszukiwaniu tego listu uroczą dama zjawia się w mieszkaniu Pawła Vallarsa, młodego komedjopisarza i rozkosznego łobuza, który błyskawicznie orientuje się w sytuacji i po pajęczej nici owego listu wkrada się pod przybranym nazwiskiem do niezdobytą grodu, jakim jest dom Vitaliana. Z właściwą wszystkim szczęśliwym Don Juanom zręcznością, zaskarbia sobie łaski krytyka i zdobywa miłość jego żony.

Oto kanwa zasadniczego pomysłu, na której można było wyhaftować prawdziwe cacko komedjowego dialogu, gdyby... gdyby się miało talent i umiar de Flersa i Caillaveta. Tymczasem autor ma tylko dużo werwy i szczyptę niewybrednego, ale to bardzo niewybrednego humoru; a z takimi zasobami można od biedy zrobić zaledwie niezłą farsę, ale nie komedię, nadającą się do tej par excellence kameralnej sceny, jaką powinien być teatr Mały.

Fakt, że Jerzy Leszczyński był przemiłym łobuzem, a Miła Kamińska uroczą i ślicznie ubraną kobietką, jest dowodem, że ci artyści, nawet w najsłabszej ramocie umieją być sobą, skoro nie mogą się wcielić w postać, której niema. Trudno, zaiste, grać samym papierem i bynajmniej nie czerpanym, ale ordynarną drzewną bibułą, w którą się zawija szuwaks, szare mydło, dziegieć, wogóle rzeczy nie pachnące.

Efekty, jakimi posługuje się autor, należą rzeczywiście do niesłychanie uperfumowanych. Niedosć, że wszystkie przyjaciółki bohatera sztuki składają mu dość hałaśliwe wizyty w salonie uwielbianej przezeń kobiety, ale każda kończy z nim rozmowę wykrzykiem: „Ty, kanaliol”, a zdanie: „ręce przy sobie!” jest stałym akompaniamentem zalotów.

Zaprawdę minęły te czasy, gdy teatr był szkołą dobrego smaku i wytwornych manier. Dzisiaj idzie się tam po to, aby słuchać płaskich dowcipów i oglądać najmodniejsze kreacje. Te ostatnie były bez zarzutu i przypominały nam co chwila, że jesteśmy w teatrze stołecznym, a nie na głuchej prowincji.

Przekład p. Szyfmanówny, staranny i udatny, stał ponad wysokością zadania. Szkoda, że tyle sumiennej pracy włożono w jarmarczne świecidełko

S. P. O.

TEATR POLSKI:

„Wojna wojnie”, komedia w 5-ciu aktach Adolfa Nowaczyńskiego, reżyserja L. S. Schillera, Dekoracje i kostiumy Wł. Daszewskiego.

Premierę Nowaczyńskiego poprzedził dym sensacji. Pewien odłam prasy z umysłu pomijał ją milczeniem, — to wystarczyło, aby wzbudzić powszechne zainteresowanie i podniecić ciekawość

publiczności. Znając ciętość autora, spodziewano się zjadliwych aluzji politycznych, węszone łapczywie zapaszek skandalu.

A tymczasem przekonano się, że podobnie, jak istnieje proch bezdymny, może być również i dym bez ognia. Kurtyna poszła w górę, pokazano nam tłum gołych nóg, nóżek i łapsk, domytych i „wypilowanych” bez zarzutu, niczem w „Moulin Rouge”; ubrano wojsko ateńskie w baletowe spódniczki; kazano Samborskiemu zrazu nosić czapkę frygijską i wdziać „przyboś” fornalskie buty, potem udawać kobietę, wreszcie dosłownie obnażono jego atletyczny tors, ku ucieście gawiedzi, — ze sceny hojnie, niby deszcz wiosenny, padały słowa, jakich z upodobaniem używają rozpuszczone sztubaki, — ale oczekiwane z utęsknieniem aluzje polityczne ugrzęzły gdzieś po drodze od biurka autorskiego do tej rozkrzyczanej plaży, w jaką zamieniła się scena Polskiego Teatru.

Byliśmy świadkami dziwnego, jak na epokę dzisiejszą, nieporozumienia. Minęły już chyba czasy pseudoklasycyzmu, gdy dość było kopjować Wirgilego, czy Owidjusza, aby zaskarbić sobie złoto u żywych, a kadzidła — u potomności. Dziś od dzieła sztuki żądamy czegoś innego, niż „za panią matką pacierz”. I zasłanianie się biednym Arystofanem, który, jak każdy nieboszczyk, bronić się nie może, nie wychodzi bynajmniej na zdrowie tworom poronionym.

Po Nowaczyńskim, tym Orzechowskim w. XX, mistrzu w krzyżowej sztuce persiflażu, mieliśmy prawo spodziewać się czegoś więcej. Autor „Cara Dymitra” i „Fryderyka Wielkiego”, dwóch świetnych karykatur historycznych, mógł, parodjując Arystofanesa, stworzyć arcydzieło groteski, wlać świeże soki w zwiotczałe żyły wiekdziesiątego na uwiad starczy teatru, dać mu wzór widowiska przyszłości, korzeniami swemi tkwiącego w klasycznym mule, ale pniem i koroną bujającego w pełnym świetle współczesności.

Tegośmy oczekiwali po Nowaczyńskim, idąc na jego premierę. Sądziliśmy, że nas napoi jadem i żółcią, że nas wstrząśnie, oburzy, zapali; wyzwie na udeptaną ziemię, powali mocą dyalektyki, utarza w pył, zniweczy, olśni nas i oszołomi furją swego temperamentu, porwie szalonem tempem cwałującego stylu. Nie stety! zamiast triumfalnej kwadrygi, na scenę wjechała skrzypiąca mażara na drewnianych osiach, zaprzężona nie w lotne pegazy, ale w pracowite i ślamazarne woły.

Słowa paliły się, jak sucha słoma, — dymiły, ale nie piekły aktorzy krzyczeli, tarzali się po ziemi, fikal koziółki, błaznowali, ale nie mieli prawa i możliwości grać; muzyka baraszkowała, balet Wysockiej fruwał poprostu po scenie, tłumy galopowały i wyły, zawirowała nawet obrotowa scena, wypuszczono na salę widzów rój chłopców z nadzwyczajnym dodatkiem. Wszystko na próżno: — akcja nie ruszała się z miejsca. „Biedził się Jacek od dobrej godziny, nie mógł ośłowi poradzić. Nie wiedzieć z jakiej przyczyny, nie dał się przez most prowadzić”. Nic nie pomogło sfastrygowanie „Rycerzy” z Lizystratą. Nienaturalny ten związek wydał potomstwo mocno zdegenerowane, o kształtach nieproporcjonalnych, sztucznie wyolbrzymionych i jakby napuchłych, dzięki inscenizacji.

Jest pewne uczucie, które, jeszcze zanim świadomość zacznie działać krytycznie, już dyskwalifikuje utwór. Tem uczuciem jest nuda. Musiała ona od początku tkwić w rdzeniu utworu, skoro zażegnać jej nie mogły nawet niezawodzące nigdy efekty Schillerowskiej inscenizacji, nawet nogi girls’ów, nawet dekolty Samborskiego, nawet niewybredne zaloty Aspazji i Ksantypy do urodziwego rycerzka. Jest jeden radykalny sposób na nudną komedię: nie grać jej wcale. Ale z nudnej i nieudanej komedji usiłować zrobić pierwszorzędną rewję à la Casino de Paris, to środek prawdziwie heroiczny! Osiąga on zazwyczaj rezultat, często notowany w medycynie: operacja się udała, chory umarł.

Arystofanes przejrzał się w „Małpiem zwierciadle” i ze zdziwieniem zapytał: „Jakto? więc ci barbarzyńcy po tylu wiekach kultury ciągle jeszcze są tak strasznie ordynarni? Więc tylko tego nauczyli się odemnie? Strzeżcie mię, bogowie, od moich przyjaciół!” I, westchnawszy głęboko, zamknął oczy nazawsze. To był ten nie napisany epilog, którego nam na scenie nie pokazano. S. P. O.

PRAWDA

Która z nas, sięgając pamięcią w odległe lata dzieciństwa, stwierdzi fakt, że wypełnione ono było po brzegi propagandą prawdy? Nawoływano nas do bicia pokłonu tej najcenniejszej z cnót od zarania młodych dni z mniej, lub więcej pomyślnym skutkiem, zależnie od gleby, na jaką padło ziarno, i zależnie od pieczołowitości rąk, które kultywowały wątłą roślinkę po skielkowaniu.

Wytworzenie atmosfery, sprzyjającej rozwojowi moralów, jakimi karmić zwykliśmy dziecięcą duszyczkę—to cena, za jaką osiągnąć można szczyt doskonałości.

Po pierwsze, propagując ideę bezwzględnej prawdy, wystrzegać się trzeba jak najstaranniej odkrycia przed dzieckiem słabości, jaka kiełkuje w każdym człowieku:—słabości mijania się z nią, tak w rzeczach poważnych, jak i błahych, tak w słowach, jak i czynach. Dziecko, to najbaczniejszy obserwator, najsurowszy sędzia i najczulszy aparat odbiorczy.

Spotkałam się kiedyś z niewinną, a boleśnie prawdziwą historyjką, napisaną przez panią Zuzannę Rabską, historyjką codzienną i prawdę swą wprost z życia czerpiącą. Była to niby dziecinna powiastka, ale ku nauce rodziców napisana i jaskrawym służąc im przykładem. Rzecz dzieje się w wagonie. Mały Jaś, czy Staś zawinił przeciwko wielkiej nocie—prawdzie, a gdy złapany na gorącym uczynku, oblewa gorzkiemi łzami serdecznej skruchy swój niegodny postępek—o świadomość jego uderza taranem słowo matki, która, pokazując konduktorowi pół biletu, wykupionego dla synka, zapewnia go o tem, że dziecko nie skończyło jeszcze lat siedmiu. Jaś otwiera szeroko skapane we łzach źrenice i pyta sam siebie z pełnem podziwu przerażeniem o powód, jaki skłonił mamusię do mijania się z prawdą. W duszyczce dziecka niedawny dzień urodzin, święcony w domu tak uroczystie, dzień, w którym tatuś pasował go na rycerza, tłumacząc obowiązki, jakie spoczywają na barkach młodzieńca, który ukończył już siedem lat, zapisał się jasnymi i pełnymi entuzjazmu zgłoskami, a teraz, kiedy on oblewa łzami brzydki swój postępek i dławi się wstydem popełnionego kłamstwa—mamusia, jego mamusia, mówi nieprawdę?!

Łzy na oczach dziecka oschną z błyskawiczną szybkością, wrażenia przyjdą po wrażeniach, buziak, skrzywiony spazmem płaczu, uśmiechnie się przez łzy do przesuwałych się za szybami wagonu obrazów, oczęta rozbłąsna znów radością życia; ale ta jedna chwila pozostawi rysę nigdy niezatartą na serduszku, odezwie się kiedyś, podkopie wiarę w słyszane słowa, zbagatelizuje napomnienia, zgasi promień słonecznej wiary w słowa, słuchane niedawno jeszcze z pełnem nabożeństwem przejściem, a autorytet zalecanych mu cnót, negowanych równocześnie postępками tych, którzy wyznawać mu je każą—zachwieje się, niby gmach, podkopany u fundamentów.

Drugim nieodzownym warunkiem skutecznego wszczepienia zamilowania prawdy w duszyczkę dziecka, będzie podtrzymanie jego kroków na tej trudnej, bądź co bądź, drodze. Rozumiem tu odnoszenie się do dziecka w sposób, budzący prawdziwe i głębokie zaufanie, oraz reagowanie na wyznana przez dziecko prawdę w sposób, dający mu zawsze odczuć to najważniejsze, że najgorsza nawet prawda, wyznana śmiało

i uczciwie, zmazuje po części winę i zasługuje na szacunek.

Wybuch gwałtownego gniewu, ostre represje z jakimi dziecko się spotyka, gdy, w myśl naszych pouczeń, złoży hołd prawdzie—muszą oddziaływać ujemnie i obudzić w niem wahanie, którego wynikiem koniecznym będzie dojście do przeświadczenia, że zręczne kłamstwo byłoby mu w tym wypadku oddało daleko większą przysługę.

Nagromadzenie w sumieniu dziecka jak największego zamilowania prawdy staje się cennem w obliczu pewnika, że jest to jeden z najdodatniejszych rysów charakteru, a jednocześnie ten, któremu życie zagraża najintensywniej. Bo na długiej drodze, jaką mamy przed sobą, można nie odstąpić na krok od wielu walorów, przyniesionych ze sobą na świat i wielu wyrobionych mądrym i racjonalnym wychowaniem—trudno jednak bardzo ponieść ze sobą, aż do końca kwiat prawdy, z którego nielitościwa ręka życia nie otrząsnęłaby płatków.

Życie między ludźmi zmusza nas do pewnych koncesyj, walka o byt sięga też pożądlivą ręką po swoją część zamilowania prawdy—żyć, nie skalawszy ust kłamstwem, możnaby jedynie w obliczu natury, na jakiejś wyspie bezludnej, wśród ptaków, zwierząt i kwiatów, a i to stałoby się wnet niemożliwem, bo czasem chęć zaspokojenia głodu, utrzymania się przy życiu, nauczyłaby nas wielu podstępów, oszukiwania czujności stworzeń żyjących, w których to czynach gnieździ się też poważny zarodek kłamstwa.

Cóż zatem winno być naszą wytyczną w kształtowaniu duszyczki dziecięcej, jeżeli, walcząc za ideał prawdy, wiemy zgóry, że nie jest on nienaruszalnym, że podlegnie kiedyś zniekształceniu?

Są jednak kłamstwa i kłamstwa. Do człowieka wychowanego w zamilowaniu prawdomówności, w poczuciu niesmaku, jaki pozostawia po sobie kłamstwo, w zrozumieniu niebezpieczeństwa, jakie idzie od zbyt luźnego w tym kierunku sumienia, degradacji moralnej, braku zaufania ludzkiego, które, raz utracone, nie wraca już nigdy, w obrzydzeniu do zwalczania trudności i ułatwiania sobie życia słowem kłamliwem—kłamstwo łatwe, brzydkie, codzienne, i, że tak powiem, przystosowane do życia w każdej jego godzinie, nie będzie miało nigdy dostępu.

Nałogowe, okrutne, nieusprawiedliwione kłamstwo ma w sobie siłę destrukcyjną, kala duszę ludzką, zabija etykę, wykołaja.

I od niego strzec trzeba jak najbaczniej młode, kształtujące się pokolenie, które i tak zbyt wcześnie zrozumie, że prawda, głoszona zawsze i wszędzie, to broń nieraz okrutna, i władać nią trzeba ostrożnie, a umiejętnie.

Jest cały legion kłamstw konwencjonalnych, towarzyskich, niewinnych, a nawet ładnych czasem, których wyucza nas obcowanie z ludźmi, a w których trenujemy się z czasem bezwiednie sami, i one to czyhają na umiłowanie prawdy, jakie szczepiliśmy na młodocianym dziczku duszy dziecięcej; te jednak nie zmacą pogody i nie zbrukają czystości—są one, jak wiele zresztą, innych przejawów złem koniecznym, bez dalszych konsekwencji i bez głębszego znaczenia; podporządkować się im trzeba i trzeba posiąść ich sztukę w całej pełni, aby nie utrudniać daremnie życia—sobie i innym.

A teraz, jedna jeszcze ważna sprawa—wycucie zbawiennej umiejętności zamilowania prawdy. Prawda

jest bowiem źródłem niepokalanej czystości, dobra i światła, ale jest też czasem grotem, który przeszywa serce i okrucieństwem ponad wszelką miarę. Zamilczenie prawdy nie jest kłamstwem, noszącem w sobie zarodki duchowego rozkładu: jest ono raczej dobrodziejstwem, chęcią zaoszczędzenia innym gorzkich rozczarowań i utrwalenia najcenniejszego dobra życia—ułudy.

Wśląd za kłamstwem niepomahowaniem i nałogowem, tak często, niestety, przez ludzi uprawianem i to z zamiłowaniem wprost niepojętem—idzie jedna z przykrzejszych konsekwencji. Oto człowiek, posługujący się niem zbyt często, powoli zaczyna tracić wiarę u ludzi, dochodząc wkrótce do opłakanego wyniku, bo gdyby nawet największym wysiłkiem pracy nad sobą wrócił na drogę prawdy, stanie się ona dla niego walorem bezużytecznym, nie znajdzie posłuchu u innych, zatruta już będzie nazawsze cudzem powątpiewaniem.

Rodzoną siostrzycą kłamstwa jest rozpowszechniona tak bardzo wśród rodzaju ludzkiego — blaga. Wada brzydka i męcząca dla otoczenia, wada, grożąca zatraceniem poczucia rzeczywistości, ośmieszająca i dyskredytująca człowieka.

Rozpoznanie, gdzie kończy się fantazja, której doszczętnie zabijać w dziecku nie należy, a gdzie zaczyna się blaga, oto subtelny odcień, którego nie wyczuć nie wolno. A jednak wszelkie zarodki blagi tępić należy jak najstaranniej: jest ona źródłem wielu przyszłych udręk w życiu ludzkim, z których najdotkliwszą może będzie ta, że blagiera nikt nigdy brać na serio nie może i że jeżeli on musi, siłą rzeczy, do rzędu ludzi nieodpowiedzialnych.

Jeżeli już życie odmówi nam możliwości cennego obcowania z prawdą, jeżeli zajdą między nią, a nami, konflikty poważne i obciążające nasze sumienie, starajmy się o jedno: — o zachowanie umiejętności powiedzenia szczerzej prawdy samym sobie. Wśląd za tą bezcenną umiejętnością idzie sprawiedliwość sądu; chroni ona nas przytem od zbytniego rozgoryczenia, jest busolą równowagi wewnętrznej, opartej na poczuciu własnej winy, lub też przeświadczeniu, że spełnionem zostało wszystko, czegośmy od samych siebie wymagać nieli prawo.

N... ska.



PIELĘGNACJA RĄK I NÓG

Zabawne nam się dziś wydaje, gdy czytamy, że w starożytności królowe Egiptu używały pomady z kopyta osła, pestek daktyli, maści z żółwi i t. d. A jednak niema środka zbyt uciążliwego dla kobiety, która pragnie upiększyć swą twarz. W ostatnich czasach uroda kobiety polega nietylko na twarzy, lecz i na ogólnej sylwetce, pięknej ręce, a zwłaszcza na jędrnej i wysmukłej nodze.

Wdzięk kobiety polega na wypielęgnowaniu ogólnem. Skóra zdradza stopień wypielęgnowania, oraz wiek kobiety. To też mieć piękną skórę, to znaczy być młodą i zdrową.

O piękności ręki decyduje nietylko wielkość, ale i kształt ręki. Piękna i starannie utrzymana ręka jest wyrazem ogólnej kultury kobiety. Kształt ręki jest dowodem pochodzenia i rasy danego człowieka. Ręka, t. zw. rasowa jest wysmukłą, o paluszkach długich, giętkich, bez zgrubień, o paznokciach różowych, nieco lśniących, bez plam.

Jedną z najbardziej nieestetycznych wad kształtu ręki są spłaszczone, szerokie końce palców i gruba, szeroka dłoń.

Na tego rodzaju defekty w ostatnich czasach zostały wynalezione specjalne futeraliki ze sztucznej kości (ivoirine) oraz bandażyki na dłonie, które rzekomo po pewnym czasie mają zmienić kształt dłoni i palców. Są to zupełnie nowe metody, nadające się raczej do obserwacji niż do zastosowania. Mogą dawać jedynie rezultaty w wieku bardzo wczesnym, gdy kość znajduje się w stadium rozwoju.

Oprócz tego najczęstszą dolegliwością jest szorstkość skóry. Szorstkość rąk jest najłatwiejszą do usunięcia dolegliwością skóry. By usunąć szorstkość rąk należy unikać zbyt niskiej i zbyt wysokiej temperatury. Odpowiednia pielęgnacja, podana niżej, w zupełności usunie tę drobną dolegliwość.

Częściej spotykanym, znacznie trudniejszym do usunięcia defektem jest brzydka, sino-czerwona barwa rąk. Pochodzi to stąd, że pod wpływem zimna występuje porażenie naczyń krwionośnych skóry, które są stale rozszerzone. Krew zastęga nagle i w miejscach tych pojawia się obrzęk, a następnie swędzenie i pieczenie skóry. W początkowych okresach odziebienia, wtenczas, gdy zmiana koloru występuje tylko chwilowo, t. zn., gdy stan porażenia naczyń nie jest całkowity, lecz gdy jest tylko podrażnienie naczyń krwionośnych, stan taki może być łatwo zaleczony, przez stosowanie gorących okładów, lub kąpieli w gorczycy, oraz przez zastosowanie kremów, maści z kamforą, z ichtiolem i t. p.

Osoby, skłonne do odziebień, powinny nosić ciepłe wełniane rękawiczki, zwłaszcza w dnie wilgotne. Wilgoć bowiem w silniejszym stopniu sprzyja odziebieniu, aniżeli najtęższy mróz.

Przy silniejszym stopniu odmrożenia najlepsze wyniki daje światłolecznictwo.

Bardzo przykrą dolegliwością jest zbyt duża potliwość, która może być wrodzona, trudna do usunięcia, lub też może być objawem ogólnego schorzenia, np. anemji, gruźlicy, nerwowości i t. d. Należy leczyć podstawowe cierpienie.

Potliwość rąk łżejszego stopnia leczy się okładami przemiennymi, oraz zasypkami, pendzlowaniem mieszaniną kwasu salicylowego i formaliny.

Przy poceniu się rąk w silniejszym stopniu światłoecznictwo pod kierunkiem lekarza może dać świetne rezultaty.

Przy poceniu się rąk wskazanem jest używanie mydła formalinowego i unikanie zbyt ciasnych rękawiczek.

Również przykrem oszpeceniem rąk jest nadmierne owłosienie i t. zw. gęsia skórka, które omówimy jednocześnie przy omawianiu pielęgnacji nóg.

Następnie rzadko spotykaną dolegliwością są zgrubienia na palcach w okolicy stawów. Są to zgrubienia, występujące zwłaszcza w wieku starszym, najczęściej na tle reumatyzmu, lub artretyzmu. Tego rodzaju zgrubienia muszą być leczone przez lekarza chorób wewnętrznych.

Ważną jest rzeczą obok pielęgnacji rąk, ochranianie ich przy pracy, zwłaszcza przy pracy gospodarskiej, którą należy wykonywać w specjalnych gumowych rękawiczkach, a po skończeniu umyć ciepłą wodą z mydłem. Wszelkie plamy od soków, lub jarzyn wytrzeć cytryną i amonjakiem, spłókać znowu wodą, a potem posmarować kremem, lub śmietanką.

Pielęgnacja rąk polega na myciu ich 3 razy dziennie; do mycia rąk przy wodzie twardej należy dodawać łyżeczkę sody, lub boraksu na miednicę wody; mydło, wbrew przesądowi, powinno być zastosowane w gatunkach najlepszych. Po umyciu, wytrzeć starannie ręce i wetrzeć nieco dobrego kremu.

Są dwójakiego rodzaju kremy do rąk. Kremy z gliceryną wciera się w mokrą skórę, bez gliceryny, w suchą.

Zachodzi teraz pytanie: który z kremów jest lepszy?

Otóż dla rąk delikatnych nadaje się tylko krem bez gliceryny. Z domowych środków polecieć można dla rąk delikatnych łyżkę śmietany świeżej, łyżkę spirytusu i sok z jednego plasterka cytryny (śmietanka udelikatnia, spirytus oczyszcza, a sok cytrynowy wybiela skórę).

Do rąk bardziej zahartowanych do tej samej mieszaniny dodać łyżeczkę gliceryny.

Myć rąk nie należy częściej, niż 3 razy dziennie, ażeby zbyt nie odtłuszczać naskórka, chyba że nastąpiło zetknięcie z jakimś podejrzanym o chorobę przedmiotem, lub osobą.

Częściej należy myć ręce przy epidemjach chorób zakaźnych, np. czerwonki, tyfusu. Wtedy po umyciu rąk środkiem dezynfekcyjnym, np. alkoholem 90%, wciera się odrobinę śmietanki, jako środka tańszego od dobrego kremu.

Do pielęgnacji rąk należy również i pielęgnacja paznokci. Czyścić je i poprawiać należy codziennie, raz na tydzień zaś potrzeba poświęcić im więcej czasu. Najlepiej ze względów higienicznych pielęgnować swe paznokcie samej. Do manicure należy mieć w swej gotowni następujące przybory: 1) obciążki, lub nożyczki krótkie, 2) łopatkę kościaną, 3) dwa pilniczki, 4) papier do spiliowywania boków paznokci, 5) proszek do nadawania połysku, 6) poduszeczkę ze skóry, 7) wazelinę, 8) sodę, lub mydło w proszku (pastę z różem, o ile ktoś różuje sobie paznokcie, 9) ałun.

Przed zaczęciem manicure należy umyć ręce w ciepłej wodzie mydłem i szczoteczką, następnie

pilnikiem spiliować boki paznokci, nadając im kształt migdała. Nie należy zostawiać paznokci zbyt długich, gdyż jest to nieestetyczne i przeszkadza w zajęciach domowych. Następnie jeszcze raz moczymy palce w wodzie z mydłem, by skórka dookoła paznokci odmiękła i dała się z łatwością usunąć. Gdy palce są już dobrze wymoczone, kościaną łopatką podnosimy skórę z paznokcia i ostrożnie ją obcinamy. Przy tem nie powinno być najmniejszego skaleczenia. W razie gdyby to skaleczenie nastąpiło, dla dezynfekcji skaleczone miejsce należy potrzeć ałunem. W końcu smarujemy paznokcie wazeliną, aby nie były zbyt łamliwe; wazelinę tę ścieramy, następnie bierzemy proszek i polerujemy. Należy tu zwrócić uwagę na karmin, który powinien być użyty w małej ilości, albo wcale, gdyż zbyt czerwone paznokcie są dowodem braku poczucia piękna i smaku estetycznego.

Przybory do manicure należy utrzymywać w ciągłej czystości. Przed użyciem należy je wycierać spirytusem, a irchę z poduszeczki często prać.

Właściwie manicure powinno się robić w domu ze względów higienicznych, gdyż w salonach fryzjerskich zupełnie nie przestrzegają podstawowych zasad higieny i mogą powodować zakażenia chorobami skórnymi, lub wenerycznymi. Jednak nie zawsze ma się cierpliwość do wykonania tego zabiegu. We Francji są stosowane doskonale kremy, które usuwają skórę z paznokci zupełnie bezboleśnie. Jeśli się jest zmuszoną robić manicure u fryzjera, to należy zwracać uwagę na czystość i dezynfekcję tych przyrządów, które służą do tego celu.

(d. n.)

Dr. J. Świtalska



Każda matka i każda wychowawczyni musi nabyć jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo

p. t.

„WZORY OZDÓB CHOINKOWYCH”

84 ozdoby na choinkę w naturalnych kolorach z dokładnymi objaśnieniami i sposobem wykonania.

CENA 7 zł. — z przesyłką poleconą 7 zł. 60 gr.

Dla naszych prenumeratorów 5 zł.

z przesyłką poleconą 5 zł. 60 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Krak. Przedm. 99 po przesłaniu należności znaczkami pocztowymi, lub na konto czekowe P. K. O. Nr 13.555.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

O TUCZENIU DROBIU

Wskutek bardziej sprzyjających hodowli drobiu koniunktur rynków konsumcyjnych — zainteresowanie tą gałęzią gospodarki wzrasta, a w związku z tem nasuwa się potrzeba omawiania różnych zagadnień, dotyczących tej dziedziny. Jednym z takich sezonowych zagadnień jest bezwątpienia sprawa tuczenia drobiu, sprawa, która jeszcze dziś tchnie u nas kompletnym prymitywizmem. Uprzykrzone pytania, kierowane pod naszym adresem z zagranicy, dlaczego przy tak świetnych warunkach gospodarki rolnej, nie tuczemy drobiu, świadczą o naszej niezaradności i bagatelizowaniu dochodowych gałęzi. Tu i owdzie wprawdzie widać pewne poczynania w tym zakresie, ale naogół nie są one w stanie zaważyć na szalach naszego bilansu. Gęsi, które w wielkich ilościach eksportujemy, idą zagranicę w stanie chudym i dopiero tam (w Czechosłowacji i Niemczech) nasi sąsiedzi tuczają je, często naszym własnym ziarnem, i na tem robią interesy. Tysiące ludzi żyje tam, zajmując się wyłącznie tym procederem. Czas więc najwyższy, aby serjo pomyśleć o tem. Jestem głęboko przeświadczony, że tuczona gęś polska znajdzie zawsze odbiorców, a wyroby z gęsin (półgęski wędzone i t. d.) mogą wytrzymać nawet w naszych trudnych warunkach komunikacyjnych — daleki transport.

Nawet prymitywne podpasanie gęsi owsem w zagrodach, jak to czynią żydzi — pasiarze gęsi w Warszawie (na Powązkach, na Targówku i t. d.) daje doskonałe wyniki, gdyż w ten sposób „pasiony towar” zyskuje na wadze i smaku i w rezultacie znajduje chętniejszych odbiorców.

Tuczenie drobiu, naogół biorąc, jest niezbędną czynnością, dopełniającą przygotowanie na rynek materiału bitego. Towar, należycie utuczony, jest zawsze poszukiwany. W naszych dużych ośrodkach konsumcyjnych zawsze brak towaru tuczonego. Więc, nie mówiąc już o eksporcie, towar tuczony można korzystnie zbyć również w kraju.

Przechodząc do techniki tuczenia, muszę podkreślić, iż właściwie sposoby tuczenia mogą być mniej lub więcej zmechanizowane, co zależy od ich opłacalności. W jednych wypadkach może się opłacić ręczne tuczenie (przymusowe), w innych — wystarczy w zupełności podpasanie drobiu przy ograniczeniu ruchów tegoż. Tak, na przykład, tuczenie gęsi w klatkach przez lejki, lub zapomocą maszyny Martin'a może się opłacać we Francji, gdzie istnieje specjalny popyt na tego rodzaju forsownie tuczony towar. U nas wystarczy tuczenie w zagrodach z korytek, ewentualnie, w wyjątkowych wypadkach, może być stosowane tuczenie kluskami, lub przez lejki.

Przy tuczeniu gęsi i kaczek z korytek, należy trzymać te ptaki w małych zagrodach; wody powinno być zawsze poddostatkim; pod nogami tuczone ptactwo powinno mieć suchą ściółkę. Aby gęsi i kaczki nie niszczyły karmy i nie rozlewały wody, korytka powinny być przytwierdzone nazewnątrz zagrody w ten sposób, aby drób mógł przeciągać doń szyję poprzez szczelbę zagrody. Do tuczenia nadaje się najlepiej śrutowane ziarno, siekana okopowina z pszeniem otrębami, gotowane ziemniaki z osypką z dodatkiem tłuczonej cegły, oraz tłuczonego węgla drzewnego.

Tuczenie kur rozpoczyna się w ten sposób: sztuki, przeznaczone do opasania, umieszcza się w małych,

przyciemnionych przegrodach, ciepłych w zimie i chłodnych w lecie, lub pod kojcami, splecionymi z łoziny. Kojce te powinny być rzadkie, aby w nich było widno i dochodziło świeże powietrze. W każdej zagrodzie lub pod kojcem umieszcza się po kilka sztuk, przyczem oddzielnie kurki, oddzielnie kogutki. Po tygodniu rozsada się poszczególne sztuki do drewnianych klatek, o ile chcemy je przymusowo dotuczać. Klatki wymienione mają szczelbelkowane dno w tylnej części, aby przez nie przelatywał pomiot kury, umieszczonej w klatce. W przedniej ścianie znajdują się szczelbelkowane otwory, przez które kura może przesuwając głowę do umieszczonego nazewnątrz korytka z karmą. Wymiary klatki muszą być następujące: wysokość i głębokość około 40 cm., szerokość około 26 — 28 cm. Szczelbelkowata przednia ścianka jest ruchoma i służy, jako drzwiczki.

W klatkach tuczenie trwa dwa tygodnie i dłużej, w zależności od intensywności opasania, i w chwili, gdy trawienie odbywa się już z trudem, a ptak ciężko oddycha, tuczenie uważa się za ukończone. Przyrost żywej wagi u kur, tuczonych w klatkach z korytek, wynosi około 250 grm. tygodniowo, natomiast przy tuczeniu ręcznym (z lejka, kluskami i t. d.) dochodzi nieraz do 1 kg. Do tuczenia ręcznego kur nadają się różne maki, zamieszane na mleku, z dodatkiem tłuszczu. Do korytek daje się śrutowane ziarno surowe, lub gotowane, z dodatkiem okopowiny, mleka, tłuszczu i t. d.

Nie ulega wątpliwości, iż tuczone sztuki po zabiciu mają lepszy wygląd, niż chude; dużo jednak zależy i od umiejętnego opracowania bitego drobiu, w czem celują francuscy tuczarze.

M. Trybulski.



G Ę Ś

Sezonowy ptak, który tradycyjnie przychodzi na stół w dzień świętego Marcina. Chociaż nikomu nie radzę, wobec naszych dużych polskich apetytów, żywić rodziny, z pięciu osób złożonej, przez cztery dni jedną gęsią, — jak to potrafią niemieckie gospodynie, — jednak mogę stwierdzić, że nie wyzyskujemy dostatecznie tego dużego i dosyć po miastach kosztownego ptaka. Przeważnie jada się gęś pieczoną z kapustą, lub jabłkami, lub też z jednym i drugim razem; z dróbek się robi zupełną ogórkową, lub czarninę, a same dróbki je się z kaszą perlową i sosem grzybowym. To są klasyczne sposoby zużytkowania gęsi, którym nie brak smaku; można je jednak jeszcze urozmaicić i zrobić użytek z pozostałych kości, tłuszczu i t. p. Przedewszystkiem, jeżeli zaczniemy od dróbek: wątróbkę, jeżeli jest duża, i od dobrze ukarmionej gęsi, czyli biała i delikatna, można użyć na pasztet, a raczej na część pasztetu: — robiąc masę pasztetową z wątróbki cielecej, układając nią formę, kłaść na to lekko osoloną wątróbkę, przykrywając znowu masą pasztetową. Potem gotuje się lub piecze taki pasztet i po ostudzeniu zalewa rozpuszczonym gęsim szmalcem.

O ile zrobimy taki pasztet w terynkach od pasztetów strasburskich, zastąpi on w zupełności te ostatnie. Na chłodzie może stać kilka tygodni.

Przyrządzić farsz pasztetowy z wątróbki cielęcej potrafi chyba każda doświadczeńsza gospodyni, mniej doświadczona—znajdzie przepis w każdej książce kucharskiej. Wybornym przysmakiem jest też taka duża wątróbka, usmażona w gęsim smalcu z dużą ilością utartej na tarce cebuli i taksamo utartych jabłek. Możemy ją podawać na gorąco i na zimno, zwykle w tem samym naczyniu, w którym się dusiła. Zazwyczaj w tym celu używa się platerowanego rondelka, lub nelsonki, dostosowanych rozmiarem do wielkości wątróbki. Nakoniec, jeśli gotujemy dróbki na zupe, a co zatem idzie na potrawkę, czy to z kaszą perlową, czy z duszoną brukwią, czy z zacieraną jajkiem kaszką krakowską,—zawsze należy ściągnąć całą skórkę z szyjki i nadziać ją następującym farszem: Wątróbkę usiekać drobno, zmieszać z takąż samą ilością najdrobniejszej kaszki tatarskiej, t. zw. maczku, dodać szczyptę majeranku, odrobinę pieprzu, łyżkę surowego smalcu gęsiego, soli do smaku; napełnić tem luźno skórkę z szyjki, zaszyć końce, ugotować razem z dróbkami, przed podaniem pokrajać na plastry. Jeśli wątróbkę dusimy osobno, lub użyjemy do pasztetu, można skórkę nadziać tylko kaszką ze smalcem, majerankiem i solą, będzie też dobrym dodatkiem do reszty dróbek. Szyjkę, bez skórki gotujemy też razem. Należy pamiętać, że dróbki, aby były smaczne, powinny być tak rozgotowane, aby zupełnie mięso od kości odstawało, niemal odpadało.

Z up najsmaczniejsze na dróbkach są: zupa perlowa z grzybkami suszonymi, kartoflanka też z grzybami, zupa ogórkowa i przedewszystkiem czarnina. Aby mieć dobrą czarninę, należy kupić gęś żywą i kazać krew z niej spuścić na ocet.

Kupowana w sklepach, przynajmniej w Warszawie, krew na czarninę jest zawsze z dużą domieszką krwi z kur i kurcząt i nigdy dobrej zupy nie daje. Wyborne są też dróbki z czarnym, słodkokwaśnym sosem, zaprawionym krwią gęsią.

Oróż klasycznej kaszy perłowej, lub orkiszowej, podaje się do nich śliwki suszone, uduszone w rosolu, z dodatkiem łyżki gęsiego smalcu i łyżki cukru; uważać jednak, aby nie były za słodkie.

Jeżeli gęś nie jest zbyt młoda i, co za tem zwykle idzie, niezbyt mięsista, nie warto jej piec, ani nawet, jak wiele książek kucharskich radzi, dusić, gdyż nawet jeśli mięso, pod wpływem długiego duszenia, ostatecznie zmięknie, zawsze będzie niesmaczne, włókniste i łykowane. Najlepiej taką gęś ugotować i podać w potrawce lub, co znacznie lepiej, w galarecie.

Piekąc młodą, mięsistą gęś, można ją nadziać farszem mięsnym, co znakomicie zwiększa ilość pieczonego i jego podzielność. Jeżeli taki farsz zrobić dobrze i smakowicie zaprawić, nie będzie się prawie różnił od gęsiego mięsa. Na zwykłą, dajmy na to, czterokilową gęś, wziąć kilo miękkiego mięsa, czystej wołowiny, lub też wołowiny, mieszanej z wieprzowiną, przepuścić dwa razy przez maszynkę, za drugim razem przepuścić też trzy wymoczone w wodzie, lub gęsim rosolu kajzerki, dwa duże jabłka kwasowego gatunku i utartą na tarce cebulę. Do tej masy wbić jedno jajko, wsypać sporą łyżeczkę utartego majeranku, osolić, wyrobić masę doskonale, dodając jeszcze parę łyżek drobno skrajanego smalcu gęsiego; nadziać tem gęś wewnątrz i pod wolą, zaszyć i piec, jak zwykle.

Gdy tłuszcz się roztopi, zlać go z brytfanny w kamienny garnuszek, zastudzić i używać do chleba lub do pasztetów. Na brytfannę podlać wody, zagotować raz i w ten sos kłaść jabłka całe, lub w ćwiartkach, które się upieką koło gęsi i będą służyły za garnitur do niej.

Gdy gęś pokrajemy i ułożymy na półmisku, kładąc obok każdego kawałka, kawałek mięsnego farszu, obłożyć wokoło jabłkami, uduszonymi w sosie, nalać na brytfannę kilka łyżek rosolu, lub wody i jeszcze raz zagotować; ugotuje się rumiany sosik, którym zalewamy pieczone. Dalej, czuję, że wywołam oburzenie ogólne nie tylko kucharek, lecz nawet i wielu pań, nie chcących zrozumieć, że nic, co się da jeszcze użyć w kuchni, marnować się nie powinno—otóż dalej: wszelkie kości z gęsi, pozostałe od pieczonego,—oczywiście, nie należy ich ogryzać, ani brać palcami—rzeczy, które między ludźmi cywilizowanymi rozumieją się same przez się,—mogą być zużyte na wyborne zupy.

Po przerabaniu ich na drobne kawałki (najcenniejsze są kawałki grzbietowe, lecz nawet kości z nóg i skrzydeł, orzerabane wpoprzek, dobry smak na zupę dają), gotuje się, jak zwykły rosół z włoszczyzną, i robi na tym smaku przedewszystkiem wyborną przecieraną kartoflankę, zupę jarzynową, zabielaną śmietaną, zupę pomidorową, krupnik z grzybami suszonymi i zupę ogórkową,—wszystkie te zupy na smaku z kości gęsi są równie smaczne.

Na wsi, gdzie się bije dużo gęsi i robi z nich półgęski, czy to na kości, czy też zwijane,—pozostają nóżki i skrzydła, oraz duża ilość dróbek. Wątróbki używa się, oczywiście, na pasztety zwykle i strasburskie. Do zalewania tych ostatnich idzie duża ilość smalcu. Smalec ten przetapia się z utartą na tarce cebulą i jabłkami do chleba i bułeczek, zamiast masła. Żydzi, obserwujący ściśle przepisy religijne, używają smalcu gęsiego do smażenia i pieczenia mięsnych potraw,—nam, przyzwyczajonym do masła, lub smalcu wieprzowego, takie kombinacje nie smakują. Zdarzyło mi się jednak razy parę, wczasy podróży po Kresach wschodnich, jeść u żydów w zajazdach tak zwany „cymes“. Jest to marchew, lub brukiew,—ta ostatnia jeszcze smaczniejsza,—duszona ze smalcem gęsim w szczerle zamkniętym naczyniu przez godzin kilka. Mogę panie zapewnić, że to było wyborne!—Kuchnia jest rzeczą zupełnie międzynarodową, i jeśli jadamy ryby po żydowsku, może która z pań popróbować przyrządzić i „cymes“. Garczek kamienny, napełniony surową jarzyną, drobno pokrajaną, zmieszaną ze smalcem i solą, przykrywa się denkiem, szczeliny zamazuje się chlebowem ciastem i wstawia na całą noc do pieca po chlebie. Jeżeli nóżek, pozostałych po półgęskach, nie wędzimy, należy mięso z nich obrać, pokrajać drobno, zmieszać z takąż samą ilością wołowiny, drobno pokrajanej, i dwa razy taką ilością nieco grubiej pokrajanej, przerastającej wieprzowiny; zaprawić solą, saletą, korzeniami, napełnić tem kiszki wieprzowe niezbyt grube, i wędzić dobrze w jałowcowym dymie.

Takie kiełbasy, zwane na Kresach kiełbasami z gęsi pałek, są wyborne i bardzo trwałe. Nakoniec wszelkie podróbki z gęsi,—przyczem nie należy zapominać oczyścić dokładnie kiszki i poowijać ich wokoło nóżek,—soli się w drewnianych faseczkach, przyciska mocno kamieniami i używa, w miarę potrzeby, na zupy i potrawki. Jeżeli, robiąc pekeflejsze

w większych ilościach, pomiędzy wieprzowiną, baraniną i wołowiną zamarynujemy kilka gęsi i kaczek, mniej dobrze ukarmionych,—to, zdaje mi się, że już wyczerpałam moje wiadomości o zużyciu jadalnych części gęsi. Puch i pierze stanowią oddzielne artykuły, niesłychanie cenne w gospodarstwie domowym, do których pozwolę sobie wrócić innym razem.

Pani Elżbieta.



ZUPA Z CIEŁĘCEJ GŁÓWKI

Pół główki cielęcej bez mózdzku i ozorka, ale z całą skórą wymoczyć przez noc całą w zimnej wodzie; nastawić z dwoma litrami wody, marchewką, pietruszką, porem, cebulą i kawałkiem selera; dodać kawałko surowej szynki (pięć deka); odszumować, gotować na wolnym ogniu, aż mięso zupełnie od kości odstanie. Mięso pokrajać w kostkę, rozmiaru małego włoskiego orzecha, szynkę drobno posiekać, włoszczyznę pokrajać w paski, dodać listek, parę ziarn pieprzu i ziela, osolić do smaku; wlać kieliszek maderu, lub węgryna, pogotować jeszcze kwadrans i podać z przysmażonymi na maśle grzankami z bułki. Zupy powinno pozostać nie więcej, niż jeden i ćwierć litra, czyli pięć niedużych talerzy. Kto lubi ostry smak, może dodać na koniec noża, białego tłuczonego pieprzu. Zupa ta do złudzenia przypomina kosztowną zupę żółwiową, zwaną „Moc turtle soup“.

ROZBRATLE PO WIEDŃSKU „ESTERHAZY“

Z trzech ćwierci kilo (75 deka) miękkiego mięsa od krzyżowej, skrzydła, lub zrazówki, ukrajać pięć równych, cienkich plasterów; zbić je mocno, posypać każdy mieszaniną, utworzoną z kawałka drobno usiekanej, młodej słoninki z odrobiną pieprzu, łyżeczką

solu, trochę otartej skórki cytrynowej i kilku kaparów; rozetrzeć tę masę po całym rozbratlu, zwinać, jak się zwija zrazy, związać grubą nitką. Zrumienić ze wszystkich stron na maśle. W nelsonce zasmażyć utartą na tarce cebulę z kawałeczkiem słoniny, wyspać łyżkę mąki, zrumienić razem, rozprosząć rosołem, lub wodą, dodać sok z pół cytryny, łyżkę kwaśnej śmietany, łyżkę kaparów, osolić do smaku. Z rozbratli zdjąć nici, włożyć je w przyrządzony sos i dusić na bardzo wolnym ogniu, aż zupełnie zmiękną.

Podawać z przysmażonymi kartofelkami. Sos nie powinien być gęsty, gdyż przy duszeniu bardzo się wysadza. Gdyby go było mało, dodać kilka łyżek rosołu, lub wody i raz jeszcze zagotować.

KARTOFLE NADZIEWANE SZYNKĄ

Można na to użyć obrzynków z szynki, byle nie zbyt tłustych i bez skórki. Kartofle nawpół obgotować, tak, aby łuska schodziła, a same kartofle były twarde. Oczyszczyć z łupinek, ścinać wierzchy, wydrążyć łyżeczką środką, pozostawiając ścianki na palec grube. Na pięć dużych kartofli — bo tylko bardzo duże warto tak przyrządzać — wagi około kilo, wziąć dwadzieścia deka szynki gotowanej, pokrajać drobno, dodać drobno utarte środką z kartofli, łyżkę śmietany kwaśnej, jedno jajko, soli do smaku, trochę białego pieprzu; nadziać tem kartofle, przykryć wierzchami, które przypiąć drewnianymi, gdyż zwykle nadzienie formuje dużą kupkę ponad kartoflem.

W nelsonce rozpuścić łyżkę masła, szmalcu, lub — co jest najsmaczniejsze — sosu od pieczeni cielęcej, czy wieprzowej, ustawić kartofle jeden obok drugiego, aby się nie przewracały, podlać do połowy rosołem, lub chociaż wodą, przykryć pokrywką i dusić na wolnym ogniu, aż kartofle zmiękną, a nadzienie się udusi. Podawać w tem samym naczyniu.

KARTOFLE NADZIEWANE PO WĘGIERSKU

Duże kartofle, nieobierane ze skórki, myje się w kilku wodach i szoruje szczotką. Ścina się im wierzchołek, wydrąża specjalną łyżeczką środką. Na kilo kartofli wziąć ćwierć kilo serdelowej kielbasy, zdjąć z niej skórę, utrzeć mięso na miseczkę, dodać łyżkę szmalcu, łyżkę zielonej pietruszeczki, usiekanej drobno, odrobinę papryki. Kartofle nadziewa się tym farszem, przykrywa ściętymi wierzchami, obwiązując mocno grubemi niemi, ustawia na patelni, lub brytfance tak, aby się nie wywracały, przez co tłuszcz mógłby wyciec, i piecze, jak zwykle, w dosyć gorącym piecu. Kartofle takie je się ze skórą, która powinna być dobrze chrupiąca.

GALARETA MARASKINOWA

Trzy szklanki wody zagotować z 20 deka cukru, wcisnąć sok z całej, dużej cytryny, dodać wpraw na-moczoną w zimnej wodzie żelatynę (3 deka), zagotować, odstawić, wlać duży kieliszek likieru maraskino, wylać do formy i wynieść na chłód. Stygnąć powinna najmniej sześć godzin. Zamiast formy, ładniej jest podawać galaretę w kryształowej kompotjerce, należy jednak ją zlewać nawpół przestudzoną, aby kompotjera nie pękła. Chcąc tę galaretę mieć różową, należy dodać do białej jeden listek czerwonej żelatyny.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DO G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

TRUFLE CZEKOLADOWE

Dwanaście deka utartej dobrej czekolady zmieszać z taką ilością cukru (pudru!), dwiema dużymi łyżkami kakao, troszką tłuczonej z cukrem wanilii, dwiema łyżkami śmietanki i łyżką masła śmietankowego. Mieszać, aż się zrobi jednolita masa; uformować kulki, utarzać w kakao, powkładać w foremki papierowe, pozostałe od cukierków, i złożyć do pudełka. Jeśli masa nie jest zbyt gęsta—nic to nie szkodzi: po paru dniach trufle należą się stwardnieją. Łatwe do wykonania, doskonałe cukierki. Z tej proporcji wychodzi pół kilo.

DOBRE RADY

Siedm do ośmiu godzin snu wystarcza dla osoby dorosłej. Kto dłużej, niż 10 godzin na dobę, prześpi się w łóżku, staje się leniwym, ociężałym, apatycznym, traci siły i energię; umysł jego tępieje i wczesnie umiera.

* * *

Dom, w którym panuje ład, porządek, spokój i wygoda—zawsze będzie miłym, choćby był ubogim. Do pani domu należy pamiętać o tem, a z pewnością domownicy jej nie będą szukali na mieście kosztownych rozrywek, ale chętnie w domu pozostaną.

KTÓRY ODKURZACZ JEST NAJLEPSZY?

Wobec zmechanizowania życia współczesnego i nawału zajęć, które drobną zaledwie częścią czasu pozwalają poświęcać pracom domowym, sprawa odkurzaczy elektrycznych staje się coraz bardziej aktualną.

Wydatek ten jest jednak w budżecie domowym dość znaczny, to też przy nabywaniu odkurzacza należy zwrócić baczną uwagę na jego system.

Godnym polecenia jest odkurzacz „Protos” Siemens, za którym przemawia cały szereg wybitnych zalet. Znaczna oszczędność prądu, (odkurzenie czteropokojowego mieszkania kosztuje zaledwie 6 groszy) odporność konstrukcji, sprawność działania, oraz cały szereg udogodnień, pozwalających na oczyszczanie wszelkiego rodzaju przedmiotów, jak: książki, szafy, odzież, dywany, firanki, zwierzęta domowe, których „tualeta” zabiera tyle czasu ich właścicielkom.

Bezpłatne, próbne odkurzenie najlepiej wykaże zalety „Protosu”, który jest ostatniem słowem techniki w tej dziedzinie.

328-x

LABORATORJUM HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i lilijowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udielikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu”, zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Pani o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniem.

Pani M. N. Skalbmierz. Szkoły handlowe męskie i żeńskie, do których przyjmują na zasadzie świadectwa z ukończonych 7 klas szkoły powszechnej, lub 3 klas szkoły średniej ogólnokształcącej, są bardzo liczne w całej Polsce. Trudno mi jest wymienić wszystkie, nie wiedząc, zwłaszcza, jaka okolica kraju byłaby Sz. Pani najdogodniejsza i czy szkoła ma być męska, żeńska, czy też koedukacyjna. Radzę Sz. Pani zaopatrzyć się w spis szkół zawodowych Rzeczypospolitej Polskiej, wydany w roku bieżącym przez Min. Oświecenia Publicznego. Skład Główny w „Książnicy Atlas”—Warszawa, Nowy-Swiat 59. Czas trwania nauki 2—3 lata. Co do podręczników, o które Sz. Pani zapytuje, polecić mogę: „Historie moralne”—Gould—w dwóch częściach, oraz najlepsze pogadanki etyczne Niewiadomskiej—prawie zupełnie, niestety, wyczerpane. W interesie Sz. Pani porozumiewałam się z głównym zarządem harcerstwa w Warszawie,—wzięli adres Sz. Pani i porozumieją się z Nią listownie.

Pani H. B. Hrymiocze. Na kapę, o której Sz. Pani pisze, robi się każdą figurę z osobna i łączy w całość podług wskazanego wzoru. Wielkość kapy trzeba przystosować do łóżka i, układając figury, ściśle stosować się do rysunku; co do materiału, ilość jego zależna jest od rozmiarów kapy. Nadmieniam, że ładnie robotą ta wychodzi tylko z grubych nitek, a więc lnianych trzeba zastosować Nr. 12 lub 16 (kłębek 20 grm. kosztuje 1 zł. 75 gr.), albo kordonku Nr. 10 (cena 1 zł. 25 gr., taki sam 20 gramowy kłębek) ilość potrzebna da się obliczyć po odrobieniu jednego całkowitego motywu rysunku z odpowiedniej grubości nitki, zastosowanej do wielkości kapy; inaczej obliczenie będzie zawsze tylko przybliżone i narazi Sz. Panią na kupienie nadmiaru, albo zbyt małej ilości, a jedno i drugie jest nieprzyjemne. Tiulu kremowego, siatkowego dostanie Sz. Pani u p. Mireckiej, Al. Jerozolimskie 21 ilość potrzebna zależy od rozmiaru kapy.

Prenumeratore z Wieliczki. Po oczyszczeniu krzaków agrestu i porzeczki, zasilić je przetrwaniem nawozem; przytem dla uniknięcia zbyt wczesnego opadania liści z porzeczki, należy je w lecie skrapiać arbosanem: będą zielone do późnej jesieni.

Pani M. B. Pomorze. Pomidorom szkodzący prawdopodobnie warunki atmosferyczne ostatnich lat, nie lubią, bowiem, ani zimna, ani zbyt wilgoci. Niech je Sz. Pani posadzi pod słoneczną ścianą, możliwie osłoniętą od wiatrów. Trzeba rozpiąć je na specjalnie urządzonej drabince, pamiętając o wycięciu liści w odpowiedniej porze. Przytem dla zabezpieczenia roślin skrapiać je arbosanem; o doskonałych skutkach używania tego płynu dowie się Sz. Pani dokładnie w szkole ogrodniczej w Bydgoszczy, która robiła z nim różne ciekawe doświadczenia; sądzę, że tam również dostanie go Sz. Pani, lub dowie się, gdzie go dostać można. Co do róż, to o ile nagiąć się jeszcze pozwolą, można przysypać je piaskiem i nakryć liśćmi; w przeciwnym razie owinąć słomą, lub poprostu zawiesić matami, przysypując korzenie piaskiem i liśćmi. Różę wogóle, a pnać specjalnie, nie lubią zbyt ciepła. Zawieszanie ścian, obrośniętych różami, matami, widziałam zagranicą.

Pani J. W. Dziurów. Maszynki różnego typu do wyrabiania ciasta dostanie Sz. Pani w firmie W. Halski w Krakowie, Sukienice 21/22. Są one znakomite i przyczyniają się bardzo do udania wypieku.

Prenumeratore z Wieliczki. Lewą stronę pluszu zmoczyć spirytusem i przeciągać w powietrzu gorącym żelazem, wyprężwszy mocno materiał w dwie osoby. O tłuczonych skorupkach od jaj, jako lekarstwie od gruźlicy, nie słyszałam: musi to być tak zwane, sympatyczne lekarstwo, powstałe na zasadzie wiadomości, że wapno jest bardzo pomocne dla gruźlików — zasklepia bowiem otwarte kawerny w płucach, nie lecząc całkiem, ale zaleczając, a tem samem poprawiając stan chorego. Nie sądzę przeto, aby spróbowanie tego niewinnego środka mogło zaszkodzić, i nie widzę przyczyny, aby go nie spróbować, (były były dobrze rozpuszczone).

Pani M. L. Krasnystaw. Nie możemy służyć Sz. Pani żadną formą lalki, gdyż tak wielka, trudna byłaby do wykonania, zwłaszcza głowa byłaby niemożliwa. Fabryka lalek jest pod Kałiszem, w Opatówku — sądzę, że tam Sz. Pani dostanie potrzebnych części.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Formowanie nosa. Z powodu braku adresu, odpowiedzi się nie udziela.

Nadwiślanka. Porada pielęgnacji włosów nie może być wysłana z powodu niepodania adresu.

Do Czytelniczki. Wszelkie odpowiedzi z dziedziny kosmetyki będą umieszczane wyłącznie dla prenumeratorek. Prosimy o podawanie dokładnych adresów. Listy bez adresów nie będą uwzględniane. Wszelkie zamówienia z dziedziny kosmetyki kierować: Krucza, 31 m. 3. — Wykwintne kosmetyki.

Czytelnicze pracownice. W odpowiedzi na zapytania, skierowane do działu kosmetycznego, zawiadamiamy, że oprócz szkoły kosmetycznej p. Biernackiej, istnieje szkoła masażu dr. Zaorskiego przy ul. Smolnej 30. Kurs trwa 4 miesiące, opłata 100 zł. miesięcznie. Rozpoczyna się dwa razy do roku: w styczniu i we wrześniu. Szkoła jest postawiona bardzo dobrze, z uwzględnieniem wszystkich najnowszych wiadomości lekarskich. Żeby nauczyć się masażu i potem go stosować z dobrym rezultatem, należy przede wszystkim być silną i zdrową. Masaż ma przed sobą przyszłość olbrzymią. Szczegółowe zapytania skierować: Smolna 30.

Grodno — czytelnicze A. O. W Warszawie istnieją szkoły robót ręcznych, które przy zdolnościach można w krótkim czasie ukończyć z dobrym rezultatem. Obecnie jednak roboty ręczne są mniej popłatne: o wiele bardziej praktyczne jest nauczanie się masażu ogólnego. W kwestiach szkoły robót ręcznych proszę zwrócić się do redakcji „Bluszczu”, ale do działu praktycznego, nie kosmetycznego.

30-to letniej staruszce. Na list pani odpowiedzieć obszernie nie możemy z powodu braku adresu. Są rozmaite sposoby, działające przeciw zmarszczkom. Proszę czytać „Kulturę Ciała” (miesięcznik, wyd. „Bluszczu” pod redakcją dr. J. Switalskiej.) art. „O zmarszczkach” w numerze 5-tym.

Dla Neny. O piękności ręki decyduje nie tylko wielkość, ale i kształt ręki. Pięknie i starannie utrzymana ręka jest wyrazem ogólnej kultury kobiety. Najczęstszą dolegliwością jest szorstkość ręki; aby usunąć tę dolegliwość, należy unikać zbyt niskiej i zbyt wysokiej temperatury. Poza to odpowiednia pielęgnacja w postaci mycia, dobrego wysuszania, oraz wcierania higienicznego kremu, daje miękką i delikatną rękę. Znacznie trudniejszym do usunięcia defektem jest sino-czerwona barwa rąk. Pochodzi to stąd, że pod wpływem zimna występuje porażenie naczyń krwionośnych skóry, które są stale rozszerzone. Krew zastyga nagle, i w miejscach tych występuje obrzęk, a następnie swędzenie i pieczenie skóry. W początkowych okresach odziebania, gdy jest tylko porażenie naczyń krwionośnych, stan taki może być łatwo wyleczony przez stosowanie gorących okładów, lub kąpieli w gorczycy, oraz przez zastosowanie kremów, maści z kamforą, z ichtiolem i t. p.

Prenumeratorka M. J. Tak intymna odpowiedź nie nadaje się do umieszczenia na łamach „Bluszczu”.

Hanka. O pielęgnacji włosów będzie ogólna odpowiedź. Proszę o przeczytanie jej. „Pielęgnacja włosów” dr. Mierzeckiego w 4 nr. „Kultury Ciała” (wyd. „Bluszczu”).

Osoby, skłonne do odziebania, powinny nosić ciepłe, wełniane rękawiczki, zwłaszcza w dnie wilgotne. Wilgoć, bowiem, w silniejszym stopniu sprzyja odziebianiu, niż najtęższy mróz.

Przy silniejszym stopniu odmrożenia najlepsze wyniki daje światłolecznictwo.

ZASŁUŻONE ODZNACZENIE

Na ogólnokrajowej wystawie Gospodarczo-Spożywczej w Katowicach, z pośród wielu wystawionych gatunków środków do prania, tylko samodzielający środek do prania RADION odznaczony został złotym medalem.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Jak się robi kapelusze“

DOKŁADNA NAUKA ROBIENIA LETNICH I ZIMOWYCH KAPELUSZY

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Potrawy wigilijne“

PRZEPISY I RADY, JAK TANIM KOSZTEM URZĄDZIĆ ŚWIĘTA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.